POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień. *Dnia 22-go lutego 1941r.* **Rok III. Nr. 8**

WCZORAJ I DZIŚ

Nie po raz pierwszy polska emigracja reprezentuje swój kraj, jego tęsknoty, dążenia i zdolność do czynu twórczego, nie po raz pierwszy tworzy na obczyźnie własną siłę zbrojną do walki o umiłowane ideały, nie po raz pierwszy również polski wysiłek wojenny poza krajem stanowi cenny wkład do dziejów orężnych wielkich narodów.

KONFEDERACJA BARSKA I POWSTANIE KOŚCIUSZKOWSKIE

Ten tragiczny okres dziejów, kiedy Polacy na obcej ziemi zaprzyjaźnionych narodów, rozpoczęli prace nad organizacją walki o swoją wolność, sięga już drugiej połowy XVIII-go stulecia. Jeszcze przed rozbiorami nici organizacyjne zbrojnego ruchu, mającego na celu uwolnienie kraju od wpływów Rosji, biegną do Turcji, gdzie przez dłuższy czas obradowała Generalność konfederacji barskiej, skąd szły rozkazy od biskupa Krasińskiego lub regimentarza Józefa Pułaskiego, gdzie na Wołoszczyźnie przeorganizowywały się oddziały Barszczan.

Po klęsce konfederacji, niespełna półtora roku po pierwszym rozbiorze, została rzucona bodajże pierwsza myśl stworzenia polskiego wojska na terenie kraju pozostającego w walce z Rosją—głównym wówczas wrogiem Polski.

Uniwersał głośnego bohatera Baru, wydany w Stambule 10 stycznia 1794 roku, świadczy wyraźnie o zapoczątkowanej akcji, która jednak wkrótce musiała być przerwana z powodu traktatu pokojowego, zawartego między Turcją i Rosją.

Po przegranej kampanii 1792 roku twórcy i zwolennicy obalonej przez przemoc rosyjską konstytucji 3 maja opuścili rodzinną ziemię, by na obcej w Lipsku i Dreźnie reprezentować polskie interesy, starać się o uzyskanie poparcia zagranicy, a nade wszystko, by na nowo montować niepodległy ruch w kraju. Przewodzi tej emigracji początkowo ks. Hugo Kołłątaj, następnie i gen. Tadeusz Kościuszko.

Prace drezdeńskiej emigracji poszły w kierunku wywołania w kraju zbrojnego ruchu niepodległościowego, opartego na głębokim podłożu ideologicznym, i zostały uwieńczone proklamowanym na rynku krakowskim aktem insurekcji z 24 marca 1794 roku, z mocą głoszącym, iż "*uwolnienie Polski od złego żołnierza, przywrócenie i zabezpieczenie całości jej granic, wytępienie wszelkiej przemocy i uzurpacji tak obcej jak i domowej, ugruntowanie wolności narodowej i niepodległości Rzeczypospolitej, ten cel jest święty powstania naszego.*"

LEGIONY DĄBROWSKIEGO

Po klęsce powstania kościuszkowskiego i wykreśleniu imienia Polski z mapy świata, liczni cywilni i wojskowi opuścili kraj, by dalej walczyć w imię haseł, jakie wysunęła insurekcja. Emigranci udają się do Turcji, Włoch i Francji.

Z terenu tureckiego wyszła pierwsza próba nowego ruchu powstańczego. Jednak ta zbrojna wyprawa brygadiera Deniski nie dała pożądanych wyników.

Większość emigrantów skupiła się we Francji, gdzie podjęła energicznie działalność zmierzającą przede wszystkim do stworzenia polskiego wojska. I mimo różnic ideologicznych, jakie dzieliły dwa zasadnicze odłamy polskiej emigracji, odłam umiarkowany, grupujący się wokół Barssa i odłam radykalny, wyznający skrajne hasła jakobińskie, zgodnie—choć niezależnie od siebie—dążyły do utworzenia na ziemi francuskiej oddziałów zbrojnych, które by podjęły dalszą walkę o niepodległość swego kraju oraz o ideały wysunięte przez rewolucję francuską.

Ideały niepodległości zespoliły się w Francji u polskiej emigracji z hasłami ogólnej wolności, okrzepł zrąb ideologiczny, oparty o wyzwolenie narodu i deklarację praw człowieka i obywatela.

Ideę polskiego wojska na obczyźnie, walczącego w służbie wolności ludów i niepodległości własnego narodu, wcielił w życie generał Jan Henryk Dąbrowski. Myśl ta kiełkowała w nim oddawna. Już w 1793 r. wysuwał podobne plany, a po klęsce maciejowickiej w ostatnich dniach insurekcji projektował przedarcie się polskiego wojska przez Morawy, Czechy i Szwajcarię nad Ren, gdzie zamierzał połączyć się z wojskami Republiki Francuskiej, głoszącej świętą wojnę za wolność ludów.

Ten bezkompromisowy i najtwardszy żołnierz sprawy polskiej przezwyciężył niepokonane zdawało by się trudności i zrealizował swe śmiałe plany. 9 stycznia 1797 r. stanął układ między rządem lombardzkim, działającym z ramienia Francji, a gen. Dąbrowskim, reprezentującym Polaków na obczyźnie. Powstały Legiony Polskie przy armii lombardzkiej, działającej w ścisłym związku z armią francuską pod naczelnym dowództwem generała rewolucji Napoleona Bonaparte.

W niespełna dwa tygodnie Legiony liczyły tysiąc ludzi, w czerwcu 1797 r. 7 tysięcy a w r. 1799 15 tysięcy żołnierzy. Poczęła się krwawa ciernista droga polskich żołnierzy na obczyźnie. Walczyli ofiarnie i mężnie na szlaku, wytkniętym przez sławnego Napoleona, na szablach i bagnetach nieśli krajowi wolność, krew swą przelewali na obcych ziemiach, by okupić straconą niepodległość, znosili trudy i głód, by swym męstwem odzyskać ojczyznę. Sztandary Legionów powiewały w słynnych bitwach, głosiły światu, że duch Polski nie upadł, że Polska powstanie przez krew i męstwo najlepszych swych synów.

"*Jestem sowicie od Niebios wynagrodzony, kiedym was w istocie przekonał, żem niepłonnymi ziomków moich karmił nadziejami. Ten rok* 1807 *jest pierwszy, w którym każdy z nas życie poczyna, bo kto Ojczyzny swej nie miał, tego można w liczbę umarłych policzyć. Ta ziemia, na której dziś wolni chodzicie, dopiero od tego momentu poznała prawdziwe swe dzieci, kiedy was widzi zebranych w obronę swoją*"—głosił Dąbrowski, gdy jako owoc trudów i przelanej krwi Legionów powstawało do życia Księstwo Warszawskie.

"WIELKA EMIGRACJA"

W październiku 1831 r. po upadku powstania listopadowego wielkie fale Polaków poszły w obce kraje. Obejmowały tysiące ludzi: członków Rządu Narodowego, posłów na sejm, polityków i działaczy niepodległościowych, publicystów i literatów, wreszcie duże rzesze żołnierzy.

Emigracja polistopadowa wykazała niezwykłą żywotność. Pracowała na najprzeróżniejszych polach zawsze z myślą walki o niepodległość swego kraju i walki o wolność narodów i prawa obywatelskie człowieka. Wysiłki tej emigracji rozwijały się w czterech zasadniczych kierunkach: próby tworzenia polskiego wojska, udziału w ruchach wolnościowych wszystkich europejskich narodów, w organizowaniu walki w kraju i rozwoju twórczości duchowej. Wszystkie kierunki ściśle zespalały się ze sobą, zazębiały, zdążały do jednego celu, walki o wolność swego kraju i o powszechny sprawiedliwy ład społeczno-polityczny w Europie.

Warunki polityczne nie pozwoliły na stworzenie na obczyźnie polskiego wojska, choć próby takie podejmowano niejednokrotnie. Wyjątek stanowił legion polski u boku powstańczych Węgier. Udział za to Polaków w europejskich ruchach wolnościowych był olbrzymi i obejmował Francję, Włochy, państewka niemieckie, Prusy, Rosję, Austrię, Serbię, Bułgarię, nawet sięgał do Egiptu.

Polak w opinii wolnościowych sfer europejskich stał się synonimem rycerza, walczącego ofiarnie o wolność powszechną i ideały sprawiedliwości społecznej, a w oczach reakcyjnych władców i szermierzy politycznego ucisku synonimem podżegacza do "buntów i rewolucji." Niestrudzenie emigracja pracowała nad ruchami niepodległościowemi w kraju: ruchy lat 1833, 1846, 1848 i poczęści 1863 są w olbrzymiej części jej dziełem.

Wspaniale zajaśniała twórczość duchowa emigracji. Emigranci nie marnowali czasu i życia, kształcili się i rozwijali, zdając sobie sprawę, iż muszą pracować za cały kraj, gdyż im tylko dana jest możność wolnej twórczości, podczas gdy w kraju przejawy myśli były przez zaborców tłumione. Doceniała również emigracja polistopadowa siłę i potęgę ducha, wiedziała, iż upadek myśli twórczej musi pociągnąć za sobą i bezwład ideologiczny i niezdolność do czynów. Zaraz po szabli wartość i znaczenie posiadało pióro, na równi z wyszkoleniem wojskowym stawiano doskonalenie myśli i wolną wymianę poglądów. Polska poezja emigracyjna stanęła na dotychczas nieosiągalnej wyżynie, stała się tym fundamentem, na którym do dziś dnia wspiera się polska twórczość literacka.

Na emigracji powstawały głębokie nurty ideologiczne, które nie stracą swej wartości w ciągu dziesiątek lat. Europejskie prądy umysłowe z łatwością wchłaniane były przez emigrantów i stapiały się z ich oryginalną twórczością. Polacy byli tymi, co najszybciej reagowali na wszystkie prądy ideowe, tymi, wśród których znajdowały one najżywszy oddźwięk. Pełno było wśród polskiej emigracji oryginalnych artykułów i rozpraw o treści ideologicznej i historiozoficznej, mnóstwo rozważań społecznych i politycznych, moc również haseł i programów. Mickiewicz, Lelewel, Czartoryski, Worcell, Darasz, Heltman, Kamieński i mnóstwo innych zaważyli na światopoglądzie nie tylko Polaków, lecz i wszystkich narodów europejskich. Polska była "modna" we wszystkich wolnych państwach, poświęcano jej wiele artykułów, broszur, rozpraw i przemówień w parlamentach. Wpływy polskiej myśli emigracyjnej znać wówczas wszędzie, niezależnie od tego czy to będzie "Le Globe," pismo "saint-simonistów," czy też "L'Avenir," organ młodych katolików.

Polska emigracja żyła całkowicie pod znakiem idei i ideałów, pracowała niestrudzenie nad poszukiwaniem prawdy, rozwiązywała trudne zagadnienia życia. Ten pęd to twórczej pracy wynikał z głębokiego i instynktownego nakazu ideowego, był wprost jakby odruchową koniecznością. Ten proces twórczości jest tym ciekawszy, iż emigracja polistopadowa bynajmniej nie liczyła się z długotrwałym pobytem na obczyźnie, głęboko wierzyła w rychły powrót do uwolnionej ojczyzny, a mimo to jej ideałem nie stało się tylko przetrwanie, lecz natężona praca twórcza, dla której wykorzystywano każdą chwilę.

Nad tą gorączką twórczej pracy unosiła się atmosfera pamięci o przeszłości, tej bliskiej i tej dalszej. Dzieje kraju ojczystego, dzieje wzlotów, a nawet błędów narodu wciąż były rozpamiętywane. Cześć dla pomników przeszłości, dla tego wszystkiego, co o niej mówiło, była olbrzymia. Rozumiano, że dzieje przeszłości to najlepszy i najzdrowszy pokarm dla ducha. Tę przeszłość komentowano, nieraz nawet potępiano, prawie zawsze jednak była ona punktem wyjścia rozważań.

Studia historyczne odgrywają wielką rolę. Lelewel, Mochnacki, Mierosławski, Morawski i wielu innych tworzą doniosłe prace historyczne. Wielkie rozważania ideologiczne opierają się na historycznych studiach i argumentach, nawet romantyczna literatura piękna opiera się na sądach i rozważaniach o przeszłości narodu. "Kordian"' "Lilla Weneda," "Balladyna," "Król Duch," "Przedświt," "Pan Tadeusz," "Dziady," czy "Dzieje Wacława," to wypowiedzi o zdarzeniach przeszłości, sądy historiozoficzne lub nawet całe histriozoficzne systemy. A jednocześnie gromadzi się źródła historyczne, zakłada towarzystwa naukowe. Batignolle, Bibljoteka Polska w Paryżu, Towarzystwo Historyczno-Literackie i jego drukowane rozprawy, "Kronika Emigracji"—to niezapomniane owoce tego docenienia wagi dziejów własnego narodu.

Dawni żołnierze powstania listopadowego w chwilach wolnych od prac organizacyjnych oddają się z zapałem pracy naukowej i publicystycznej. Znajdują na nią czas Gen. Ludwik Mierosławski, Bem, Chrzanowski, Wysocki, znajduje czas i zapał mnóstwo oficerów.

MYŚL WOJSKOWA NA EMIGRACJI

Polska myśl wojskowa wykazała wielką moc twórczą. Warunki zmuszają polskich teoretyków wojny do szukania nowych rozwiązań, rozwiązań na wskroś orginalnych. Klęska Polaków 1831 roku zniweczyła armię polską, a marzenia niepodległościowe wiązały się ściśle ze sprawą polskiej siły zbrojnej. Stąd zagadnienie nowej wojny, wojny powstańczej, nieopartej zrazu o wojsko regularne. Charakterowi takiej walki, jej zasadom i metodom poświęcają polscy żołnierze na emigracji swe rozważania i prace.

Śmiało twierdzić można, że najgłębsze i najwnikliwsze ujęcie teorii wojny partyzanckiej, "małej wojny" i t. zw. wojny "ludowej," wojny, która staje się zagadnieniem na wskroś społecznym i ma objąć cały naród, wojny "powszechnej," gdzie naród stapia się w jedno z wojskiem, gdzie każdy obywatel jest żołnierzem—dały prace polskich emigrantów w latach 1832—1863. Zostały nawet opracowane odpowiednie regulaminy i instrukcje, przystosowane do tych nowych form walki. Te niepospolite i pełne polotu prace, jak "Wojna Ludowa" Kamieńskiego, czy rzetelne i oparte na głębokiej znajomości rzeczy rozprawy o wojnie partyzanckiej Głębockiego, Stolcmana, Nieszokocia, czy Chrzanowskiego pozostaną zawsze cennym wkładem do dziejów myśli wojskowej, nie tylko Polski lecz i innych narodów. Obszerne regulaminy jak "Regulamin Piechoty," "Regulamin Jazdy," "Regulamin Artylerii," czy instrukcja o taborach lub ubezpieczeniach, a nade wszystko nie posiadająca nigdzie wzorów "Instrukcja Kosynierska" świadczą aż nadto wymownie o rzetelności i ogromie pracy polskich żołnierzy, którzy tworzyli na emigracji teoretyczne podwaliny wojska, które zamierzali powołać do życia.

EMIGRACJA PO POWSTANIU STYCZNIOWYM

Romantyczna, lecz i pełna trzeźwej myśli wojskowej walka 1863—1864 r. nie przerwała wysiłków i prac emigracji. Emigracja po r. 1864 jest czynna . Wystarczy wspomnieć, iż dwa najgłębsze polskie nurty niepodległościowe rodzą się właśnie na emigracji: Liga Narodowa, zainicjowana przez powstańczego pułkownika Zygmunta Miłkowskiego-Jeża i Polska Partia Socjalistyczna.

Duchowym symbolem tej emigracji jest Rapperswill. Tu gromadzono dokumenty i akty, świadczące o polskich ruchach niepodległościowych. Tu zbierano cały dorobek ideologiczny Emigracji. Bez Rapperswillu przyszłe polskie pokolenia nie poznałyby nigdy prawdy o polskich walkach powstańczych, a bez tradycji tych walk inaczej może wyglądałby podczas wojny 1914—1918, Naczelny Komitet Narodowy i Legiony, Armia Polska we Francji gen. Hallera czy "Naczpol" i polskie oddziały w Rosji.

DOBA DZISIEJSZA

Dzisiaj stoimy przed podobnymi zadaniami, stoimy w warunkach bezsprzecznie lepszych. Wiara i pewność zwycięstwa są nie do odebrania. Wojsko polskie istnieje i duża jego część walczy. Wysiłek wojenny polskiego wojska na obczyźnie ma za sobą głośne i chwalebne karty we Francji czy Norwegii. Możliwości rozbudowy wojska i możliwości rozwoju polskiej myśli, możliwości pogłębienia ideologicznego i oparcia jej o nieprzemijające wartości, zaczerpnięte z przeszłości narodu, są wielkie. Lecz i nakazy i obowiązki są olbrzymie wobec sytuacji kraju, gdzie wróg tępi wszystko co polskie, dławi myśl polską z siłą okrutniejszą niż dawniej. Są i wielkie przykłady i złota tradycja emigracji zeszłego stulecia.

Nam żołnierzom nie wolno zaniedbać, przeoczyć żadnej z tych możliwości, żadnego z tych przykładów i żadnego z tych nakazów. Nie byli byśmy godni ani kraju, ani tradycji polskiej, nie stalibyśmy na wysokości chwili historycznej, gdybyśmy w sobie nie wzmagali woli walki i nie doskonalili zdolności do walki.

Edmund Oppman

Przed likwidacją imperium włoskiego



Benghazi padło, czyli cała Cyrenajka jest w ręku brytyjskim. Wojska Wavella wkroczyły do Trypolitanii (zachodniej części Libii). W Erytrei Agordat jest zajęty, kleszcze brytyjskie zamknęły Keren, poczem droga będzie otwarta do Asmary. W Abisynii już 50,000 kilometrów kwadratowych jest w posiadaniu wojsk brytyjskich, Gondar jest zagrożony, a powstańcy niepokoją tyły. I już rząd włoski usiłuje układać się z rządem brytyjskim o ewakuację ludności cywilnej z Abisynii, obawiając się krwawej zemsty tubylców. Imperium afrykańskie Mussoliniego jest w stanie likwidacji.

ZACZĄTEK IMPERIUM— SOMALIA I ERYTREA

Przyjrzyjmy się jego historii. Na początku wieku XX-go włoskie panowanie w Afryce rozciągało się jedynie na dwie maleńkie kolonie na brzegu Morza Czerwonego: Somalię i Erytreę. Kolonie te były przedzielone Somalią francuską i Somalią brytyjską. Apetyty włoskie na Tunis zostały udaremnione przez Bismarcka, który wolał skierować Francję w kierunku Afryki, licząc, że zaangażowanie się republiki w sprawy kolonialne osłabi pamięć o Alzacji i Lotaryngii. Próba zdobycia Abisynii skończyła się haniebną klęską pod Aduą.

ZDOBYCIE LIBII

Dopiero rok 1912 przyniósł Włochom poważną zdobycz w Afryce. Wojna z Turcją, słabą i niezdolną do stawienia oporu pozwoliła na "zdobycie" Trypolitanii i Cyrenajki, które na krótko przed wojną obecną zostały połączone administracyjnie w jedną kolonię: Libię.

Dodajmy, że ta wojna z Turcją była głęboko niepopularna. Partja socjalistyczna prowadziła przeciw niej szaloną kampanię. Kobiety kładły się na szynach, by nie puszczać pociągów z wojskiem. Najgwałtowniejszym zaś agitatorem antywojennym, tym, który z największą pasją zwalczał imperializm włoski był młody i mało znany przywódca lewego skrzydła socjalistów, nieprzejednanie rewolucyjny Benito Mussolini.

ROZCZAROWANIE WŁOCHÓW PO WIELKIEJ WOJNIE

Wojna światowa nie przyniosła Włochom powiększenia stanu posiadania w Afryce. Zbrakło ich między państwami mandatowymi, które przejęły administrację byłych kolonii niemieckich. Było to wynikiem błędnej polityki reprezentantów włoskich na konferencji pokojowej. W roku 1915, gdy szło o wciągnięcie Włoch do wojny, mocarstwa sprzymierzone w tajnej umowie przyrzekły Włochom ze spadku po Austrii nie tylko Triest i Trydent, ziemie włoskie, ale także wybrzeże dalmatyńskie, ziemie czysto słowiańskie. Włochy, panujące nad Dalmacją, byłyby bezapelacyjnymi panami Adriatyku, mogłyby o nim śmiało powiedzieć "mare nostrum"—nasze morze.

Gdy doszło jednak do rozpraw na konferencji pokojowej w Paryżu obietnicy nie honorowano. Sprzeciwił się temu Wilson w imię zasady prawa narodów. Sprzeciwili się temu delegaci chorwaccy, którzy połączyli się z Serbami i żądali utworzenia jednego państwa Serbów, Chorwatów i Słoweńców. Włoscy delegaci jednak obstawali na swojem. I w pewnym momencie Orlando, premier włoski, i Sonnino, minister spraw zagranicznych oświadczyli, że nie bawią się dalej i opuścili Paryż.

Demonstracja ta niewiele pomogła. Włochy podpisały w końcu traktat wersalski, traktat w St. Germain, kontentując się na Adriatyku maleńką enklawą w Jugosławii Zarą, i wyspą Saseno, zamykającą dostęp do albańskiego portu Valony. Później jeszcze doszło do tego Fiume, "zdobyte" przez d'Annunzia. W czasie jednak nieobecności włoskiej dokonano podziału mandatów, co do których Włochy z oburzeniem zgłosiły *desinteressement*, twierdząc że nie zamienią Dalmacji na ziemie afrykańskie.

Pierwsze powojenne rządy włoskie pogodziły się z istniejącym stanem rzeczy. Uznały—i słusznie—że wojna światowa spełniła w całości słuszne i usprawiedliwione żądania włoskie. Nie tylko włoskie prowincje wróciły do Włoch (zresztą plus część Tyrolu, zaludnionego przez Niemców) ale, co znacznie ważniejsze zatrzymany został odwieczny napór niemiecki na południe. Na Brennerze nie było już potężnej monarchii austro-węgierskiej, ale słaba Austria, która Włochom w niczym nie zagrażała. Hrabia Sforza starał się nie tylko o utrzymanie najlepszych stosunków z Francją i Anglią, ale i o wyrównanie przeciwieństw włosko-jugosłowiańskich. Był on jednym z ojców duchowych Małej Ententy, mającej gwarantować istniejący stan rzeczy.

ISTOTA FASZYZMU—TO AGRESYWNOŚĆ I IMPERIALIZM

Z przyjściem do władzy Mussoliniego sytuacja się zmieniła. Faszyzm z natury swej musiał być agresywny i imperialistyczny. Powiększenie potęgi włoskiej miało usprawiedliwić i wyrównać zniszczenie wolności wewnątrz kraju. Zdobycze na zewnątrz zastąpić obniżenie standartu życiowego. Armaty zamiast masła, hasło to, sformułowane przez Goeringa, było hasłem nie tylko nazistowskim, ale i faszystowskim.

Początkowo Mussolini myślał o Europie. Austria i Węgry miały wejść w orbitę wpływów włoskich, rozbicie Jugosławii miało przynieść upragniony brzeg dalmacki. Terroryści chorwaccy byli kształceni we Włoszech i na Węgrzech, rewizjonizm węgierski w stosunku do Jugosławii miał w Rzymie najwierniejszego sprzymierzeńca. Zamordowanie króla Jugosławii Aleksandra i Barthou (w Marsylii) było szczytowym momentem tej polityki Mussoliniego.

KAMPANIA ABISYŃSKA

Znamionowało jednak także jej zmierzch. Reakcja europejska po tym morderstwie wykazała, że pochód na Jugosławię byłby sygnałem do wojny europejskiej, do której Mussolini nie był zdolny. I wtedy natychmiast Mussolini skierował oczy swe na Afrykę. Rozpoczęły się przygotowania do kampanii abisyńskiej. Mussolini zdawał sobie sprawę z tego, że jego sny afrykańskie muszą doprowadzić do zderzenia z Wielką Brytanią i Francją.

ZMIANA STANOWISKA WOBEC NIEMIEC

To też z chwilą, gdy kampania abisyńska została zdecydowana zmienił się od razu stosunek do Niemiec. Mussolini, który wziął na siebie rolę protektora niezawisłości Austrii, który nazajutrz po zamordowaniu przez nazistów kanclerza austriackiego Dollfussa zmobilizował swe wojska na Brennerze, z góry zaakceptował w tym momencie wcielenie Austrii do Niemiec. Co prawda grał jeszcze z Schuschniggiem, ale zmuszając go do przyjmowania wszystkich żądań niemieckich. Istotną jednak swą politykę wypowiedział w tym słynnym zdaniu: "nie damy się zamknąć na Brennerze."

MARZENIE MUSSOLINIEGO— WYŁĄCZNE WŁADANIE NA M. ŚRÓDZIEMNYM

Zdobycie Abisynii miało być jedynie wstępem. Istotny program Mussoliniego sięgał o wiele dalej. Na Via dell Impero stały w kamieniu wykute mapy dawnego Imperium rzymskiego i obecnego Imperium. Miały one przypominać Włochom prawdziwy cel, do którego dążył Duce. Celem tym było opanowanie całej Północnej Afryki od Algieru aż do Morza Czerwonego. Zrobienie "*mare nostrum*" już nie z Adriatyku, a z całego Morza Śródziemnego. To znaczy zdobycie Tunisu i Egiptu, Korsyki i Malty—wyparcie z tego terenu Wielkiej Brytanii i Francji.

Korsyka i Malta miały wrócić jako ziemie odwiecznie włoskie—choć Korsykańczycy uważają się za Francuzów, a Maltańczycy są dziwną mieszaniną ras, mówiącą własnym językiem. Afryka—to dziedzictwo dawnego Rzymu. Po za tem apetyty faszystowskie sięgały jeszcze i w kierunku Anatolii i Albanii. Włochy chciały być mocarstwem nie tylko afrykańskim, ale i bałkańskim i małoazjatyckim.

Działały włoskie piąte kolumny i w Tunisie i w Egipcie. Wielki Mufti Jerozolimy, Hussein był subwencjonowany w swej krwawej walce z żydami i przez Mussoliniego i przez Hitlera. Broń, którą odbierano powstańcom arabskim była bronią włoską.

PRÓBY "PROTEGOWANIA" ARABÓW

Nie tylko w Palestynie Mussolini przybierał rolę protektora Arabów. Wszędzie starał się przekonać muzułmanów, że to on właśnie jest przyjacielem Islamu. Kazał sobie nawet podczas swej wizyty w Libii ofiarować "miecz Islamu." Była z tego na Wschodzie kupa śmiechu. "Miecz Islamu" jest bowiem tytułem symbolicznym, nadawanym ludziom, którzy bronią szerzyli religię Proroka. Danie więc Mussoliniemu "miecza Islamu" miało tyleż sensu co by miało ofiarowanie Hitlerowi, jako następcy Attyli, bicza z oświadczeniem, że jest to "bicz Boży."

Niezależnie zresztą od tej typowej dla kabotyństwa Mussoliniego błazenady, jego działanie poza Palestyną, gdzie istniały specjalne warunki, skazane było z góry na niepowodzenie. Arabowie libijscy bowiem pamiętali "pacyfikację," przeprowadzoną przez Grazianiego, która mu uzyskała przezwisko "libijskiego rzeźnika." A jednocześnie z oświadczeniami o obronie Islamu zaczęło się masowe wywłaszczanie Arabów libijskich, którym odbierano ziemię, aby osadzić na nich kolonistów włoskich. Libia zresztą była jedynym krajem w Afryce, gdzie ludność nie wzrastała, a zmniejszała się, co dostatecznie świadczyło o metodach rządów faszytowskich. W Abisynii walka nie ustawała ani na chwilę. Kolonizacja zaś włoska na tym terenie zawiodła. Imperium włoskie było bardzo niepewne. Jedynie w starych koloniach Erytrei i Somalii liczyć mógł Mussolini na wierność tubylców.

DROGA DO KANAŁU SUEZKIEGO OTWARTA

Mimo to po upadku Francji wydawać się mogło, że Mussolini jest bliski celu. Tunis został zdemilitaryzowany i Duce miał nadzieję, że w traktacie pokojowym z Francją otrzyma go jako napiwek. Somalia francuska z Dżibuti od razu wpadła mu w ręce. Wojska brytyjskie zaś skutkiem tego zmuszone były wycofać cię z Somalii brytyjskiej. Erytrea z Somalią włoską zostały nareszcie połączone. Wreszcie Graziani rozpoczął pochód na Egipt i Sudan, zajmując prawie bez sprzeciwu Sollum i Kassalę. Droga do Aleksandrii i kanału suezkiego, droga do Chartumu były otwarte.

Jaka bowiem była sytuacja? Armia libijska Grazianiego, której przeznaczeniem było bronić Libii przed atakiem z francuskiego Tunisu i atakiem z angielskiego Egiptu już się nie miała co troszczyć o Tunis. Cała mogła iść na Egipt. Armia zaś która miała bronić Egiptu była zdezorganizowana. Obrona Bliskiego Wschodu była bowiem powierzona armii Weyganda, skoncentrowanej w Syrii, jako na zwrotnicy. Upadek zaś Francji zlikwidował i tę armię. Jedynie nieliczne jednostki angielskie i polskie w skład jej wchodzące przedostały się do Palestyny.

OKAZJA PRZEŚLEPIONA PRZEZ GRAZIANIEGO

Mocne uderzenie wymierzone wówczas niewiadomo, jakby się było skończyło. A jednak Graziani czekał. Czekał, czy na posiłki, czy na zwycięstwo niemieckie na Zachodzie, któreby pozwoliło bez trudu zbierać owoce walki sprzymierzonych. Czekał za długo.

Bo tymczasem z Australii, z Indii, z Anglii zaczęły napływać do Egiptu przez Morze Śródziemne, przez Morze Czerwone broń, tanki i aeroplany. Zaczęły napływać wojska. Do Kenyi zaczęły napływać wojska południowo-afrykańskie. I wreszcie padł pierwszy cios. Sollum zostało odebrane. Przyszło po tem Sidi Barrani, Bardia, Tobruk i Benghazi. Przyszło wyrzucenie Włochów z Kassali i z Kenyi. Przyszedł atak na Somalię włoską, atak na Abisynię i powstanie w Abisynii.

"IMPERIO ROMANO" TRZESZCZY

Imperium włoskie trzeszczy. I załamie się.

Co do Abisynii mamy już oświadczenie ministra Edena, że Wielka Brytania uznaje niepodległość Abisynii i władzę cesarza Haile Selassiego. Wyspy Dodekanezu wrócą do Grecji. Albania będzie znów niepodległa. Co do reszty Imperium nie ma jeszcze żadnych oświadczeń autorytatywnych. Ale zapewne w Libii powstanie państwo arabskie. Niepodobna bowiem będzie Arabów, dziś uwolnionych, z radością witających wojska oswobodzicielskie znowu oddawać pod jarzmo włoskie.

Gdy Krezus rozpoczynał wojnę z Persami wyrocznia delficka zapewniła, go, że zniszczy tym wielkie mocarstwo. Nie uprzedziła go, że tym mocarstwem będzie jego własne. Podobnie i Mussolini nie mylił się, gdy sądził, że przez wejście swe do wojny zniszczy wielkie imperium w Afryce. Ale nie wiedział, że tym zniszczonym Imperium będzie Imperium włoskie.

Czesław Poznański



"Mussolini ma zawsze rację"—głoszą tablice przy drogach imperium włoskiego

POLSKA 1940

III.—Co myśli i czuje społeczeństwo pod okupacją*

Nie ma propagandowej blagi w tym, co się mówi o mężnej postawie ludności pod okupacją. Nie wszyscy oczywiście są bohaterami, lecz na ogół biorąc tyle jest patriotyzmu, tyle gotowości do ofiar, tyle hartu ducha, iż doprawdy budzi to podziw.

A dopiero wtedy się to należycie uwydatnia, gdy się przekroczy granicę. Ja np. musiałem spędzić kilkanaście dni w Budapeszcie i doprawdy czasem byłem zgorszony tym, co widziałem. To narzekanie, że kiełbasa jest zimna, a masła mało (w Polsce jada się suche ziemniaki i czarny chleb), to wypytywanie się w którym obozie najlepiej dają jeść, to wykręcanie się od jakiejś cięższej pracy dla Polski—razi każdego nowego uchodźcę z Polski.

Mówiłem sobie co prawda, że trafiłem na "maruderów," bo co lepsze i gorętsze, to już dawno odpłynęło do Francji, widziałem zresztą także ludzi na prawdę odczuwających całą naszą tragedię i pracujących wszelkimi sposobami nad wywalczeniem lepszego jutra, ale w każdym razie byłem trochę zaniepokojony. Jeśli taka jest emigracja, jeśli takie są nastroje po tym wielkim wstrząsie dziejowym, po katastrofie. . . . No, ale w Anglii—mówiłem sobie z pewnością jest inaczej.

W Kraju na szczęście nie wie się nic prawie o tym, jak to bywało w niektórych dancingach i knajpach paryskich. Coś tam wprawdzie czasem o zachowaniu się niektórych uchodźców w Rumunii wspominały pisma niemieckie, ale Niemcom zasadniczo nikt nie wierzy.

Raz po jakiejś audycji radiowej o bankiecie polsko-francuskim, usłyszałem takie słowa:

"Jak Pan tam dotrze, to niech im Pan powie, żeby w radio słowa "bankiet" nie używali. My wiemy, że bankiety dla propagandy potrzebne, ale to ludzi drażni, bo Pan widzi, jak się tu ludzie odżywiają!"

Tak, Kraj cierpi i trzeba, żeby nie było nadmiernego kontrastu między nim a emigracją. Ludność jest zdecydowana przetrwać, bez żadnych ustępstw, bez żadnych kompromisów z okupantami. Nie spotkałem się nigdy z poglądem, że np. rząd powinien się starać o zawarcie jakiegoś kompromisowego pokoju—dla ratowania Narodu przed tymi ciosami, jakie nań spadają podczas okupacji. Nie, żadnych ustępstw! Walka, walka i jeszcze raz walka aż do pełnego, ostatecznego zwycięstwa.

Zamiaru wyjazdu zagranicę nie mogłem oczywiście rozgłaszać, ale parę osób o mych planach wiedziało. Słyszałem takie zdania:

—"Niech Pan powie memu mężowi, żeby się o mnie nie martwił. Jakoś tu przetrwamy. Co będzie, to będzie. Grunt, żeby była Polska!"

Jest tęsknota, jest ból rozłąki, jest niepokój o najbliższych, ale jest też zrozumienie, że mają oni obowiązek wobec Polski.

Wiara w zwycięstwo jest powszechna. Było przez krótki czas zaniepokojenie i przygnębienie z powodu upadku Francji, ale to szybko przeszło i już w lipcu nastrój był znowu znakomity. Tak, jak przed kampanią w Norwegii, z tą jednak ważną różnicą, że już nie oczekiwano powrotu wojsk polskich z miesiąca na miesiąc. Już się nastawiano na to, że to potrwa dłużej. Pociechy i odpowiedzi na pytanie, kiedy będzie pokój, szukano czasem w proroctwach. A więc mówiono, że Nostradamus przepowiedział to i tamto, że znowu jakaś wróżka francuska, która się rzekomo nigdy nie pomyliła, wyznaczyła znowuż taką datę, że wierszowana przepowiednia, która się zawsze "sprawdza," powiada i td.

Naturalnie nie wszyscy wierzyli proroctwom. Byli też i tacy, co nie dowierzali londyńskim komunikatom radiowym i minęło trochę czasu, nim Londyn szczerością i prawdomównością naprawił to, co zepsuły niektóre radiostacje francuskie. Nie sprawdziły się różne butne przechwałki, nie było też wcale obrony Paryża "do ostatniej kamienicy" (a w Polsce liczono na to, że Paryż będzie broniony),a niektórych słuchaczy raził też sam styl owych komunikatów radiowych.

"Rzecznik Ministerstwa Spraw Wojskowych oświadczył, że chociaż sytuacja jeszcze nie jest wyjaśniona, to jednak pewne oznaki zdają się wskazywać, iż istnieją podstawy do optymizmu."

I tak nieraz w tym guście. Jak to kontrastowało ze zwięzłym, energicznym stylem komunikatów niemieckich: "Zdobyliśmy to i tamto. Zatopiliśmy tyle a tyle. Zbombardowane zostały. . . ."

Jasno, zwięźle, jak najwięcej faktów, żadnej blagi—oto życzenia tych, którzy jeszcze radio posiadają.

Że się wojna przedłuży, to tłumaczono sobie charakterem narodowym Anglików. Anglia—mówiono—przegrywa wszystkie bitwy, z wyjątkiem ostatniej. Anglia ma czas, Anglia się nie śpieszy.

Powtarzano sobie anegdotkę, /znacie! no to posłuchajcie, jak mawiał p. Jowialski!/ jak to trzeba było wyciągnąć z beczki jakąś groźną rybę /powiedzmy szczupaka/ i jak się do tego zabrali Rydz Śmigły, Gamelin i Chamberlain.

Rydz Śmigły bez wielkich przygotowań, gołą nieuzbrojoną ręką zamierzył się na szczupaka, który się jednak nie dał, pokaleczył i pokrwawił Polaka.

Francuz był ostrożniejszy. Lubiał fortyfikacje, więc rękę ufortyfikował gumową, czy też drucianą rękawicą i metodycznie zaczął ofensywę przeciw szczupakowi. Ale i Gamelin nie miał szczęścia.

Przyszła kolej na Anglika. Ten wziął łyżkę i zaczął flegmatycznie wylewać wodę z beczki, by szczupakowi brakło tchu. Pewnie, że taka blokada dałaby rezultat, ale kiedy! Ile mniejszych rybek pochłonie tymczasem żarłoczny szczupak!

Gdy więc w sierpniu Niemcy zaczęli donosić o "zwycięskich" nalotach na Anglię, to Polacy niepokoili się tym, współczuli Anglikom / w niemieckim oświetleniu wyglądało to strasznie: same trupy i zgliszcza/, ale byli też tacy, co mówili:

— "To smutne, ale konieczne. Teraz Anglicy zobaczą, jak trzeba się zbroić, jak to właściwie wojna wygląda."

Podziw dla Anglii rósł z każdym miesiącem. Co do Francji, to oburzenie na Pétaina i Lavala było ogromne. O stratach naszej armii wiedziano dość dużo. Martwiono się, ale nikomu ani na myśl nie przyszło stawiać z tego powodu jakiekolwiek zarzuty Gen. Sikorskiemu, którego autorytet jest w Polsce olbrzymi i dokoła którego powstaje w Polsce legenda. To też wertując stare komplety pism ze zdumieniem wyczytałem, że zarzuty powstały na emigracji, że Wódz Naczelny musiał je publicznie odpierać. Zarzut, gdyby jaki powstał, to chyba taki, że armia była bbyt mała, że nie zmobilizowano wszystkich, ale nie—że Polacy byli na froncie. Z dumą podkreślano, że Polacy bili się dzielnie, że walczyli także wtedy, gdy Francuzi już walczyć nie chcieli.

Czasem udawało się znaleźć wzmianki o armii polskiej i rządzie w prasie niemieckiej. "Warschauer Zeitung" zasadniczo milczała, by Polaków niczym nie uradować, ale pisma wychodzące w Rzeszy, nie były takie ostrożne. Np. o przejściu brygady gen. Kopańskiego do Palestyny doniósł jeden z pierwszych "Völkischer Beobachter."

Głównym jednak źródłem wiadomości było radio, nieoceniony, błogosławiony wynalazek, dzięki któremu wiedziało się o sukcesach "Orła" o zwycięstwach polskich lotników, o zdobywaniu Narviku.

Byłem u pewnej pani, gdy przyszła wieść, że wojska polskie zajęły Narvik. Londyn powtarzał to i podkreślił. W całym towarzystwie radość była ogromna.

— "Narvik zdobyty! Prawda, proszę Pana, że to wielkie zwycięstwo"—zwróciła się do mnie pani domu. /Mimo mej kategorii D uchodziłem za autorytet w sprawach wojskowych—na bezrybiu i rak ryba).

Kiwnąłem głową i mruknąłem coś niewyraźnie, bo w owym czasie—był początek czerwca—od Narviku, ważniejsza była Dunkierka.

— "Narvik, Narvik—powtarzała pani domu.—Teraz to już chyba wszystko dobrze pójdzie!"

Na drugi dzień dowiedziałem się, że pani domu poszła do biura zupełnie niewyspana. Całą noc przeleżała z bijącym sercem. Ze wzruszenia, z radości, że wojska polskie zdobyły Narvik.

Tak reagował Naród na każdą wieść o polskich sukcesach. Tak cieszyli się wszyscy: młodzież, kobiety i starcy, marzący o tym, by przed śmiercią zobaczyć jeszcze znowu polskie wojsko.

Stanisław Zatorski

*Por. poprzednie artykuły cyklu: "I. Jak się po niej podróżuje," druk. w nr. 5, "II. Co się widzi z okna pociągu i na ulicy," druk. w nr. 7 "Polski Walczącej."

Polacy w Szwajcarii



Szwajcaria była dotąd dla Polaków krajem dalekim i na ogół obcym. Stanowiła coś żywego i bliskiego tylko dla stosunkowo małych, zamkniętych grup społecznych. W Warszawie żyły nieliczne już przedstawicielki pierwszego pokolenia studentek polskich, które w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia znalazły gościnne przyjęcie w uniwersytetach Zurychu i Genewy. Znało Szwajcarię pokolenie młodzieży akademickiej, szczególnie byłego zaboru rosyjskiego, które w latach dziewięćdziesiątych minionego wieku, a jeszcze bardziej po strajku szkolnym r. 1905, bojkotując uczelnie rosyjskie, tu szukało wiedzy. W tychże samych latach w poszukiwaniu za chlebem i pracą zawadziły o Szwajcarię małe grupy robotników rolnych.

Po wojnie światowej, gdy ustała emigracja studencka i zarobkowa, tylko ci nieliczni Polacy, którzy z racji swych zajęć zawodowych, związani byli z Ligą Narodów, czy Międzynarodowym Biurem Pracy lub nieliczni entuzjaści nowinek pedagogicznych koncentrujących się w genewskim pedagogicznym Instytucie Rousseau—zaglądali do tego kraju czarującego pięknem przyrody.

Znajomość Szwajcarii w latach powojennych zaczęła się w Polsce ograniczać do kół uczonych, jeśli się nie bierze pod uwagę nielicznych turystów. W Warszawie z inicjatywy jednego z profesorów politechniki istniało Koło Zuryszan, mające ciekawe archiwum o dużej wartości historycznej z życia Polonii szwajcarskiej. Tuż przed wojną zaczęło w Krakowie działalność Towarzystwo Polsko-Szwajcarskie. Na międzynarodowy zjazd historyków w r. 1938 historycy polscy wydali tom p.t. "*Pologne-Suisse*," będący zwięzłym zarysem historii wzajemnych stosunków.

Ku Szwajcarii biegły też często przed wojną nasze myśli i serca z innego jeszcze względu. W Morges żył w zaciszu wielki patriota Ignacy Paderewski, którego kilkakrotne wielkoduszne wezwania do jedności narodowej, nie znalazły żadnego niestety odzewu u reżimu przedwrześniowego, budząc natomiost echo głębokie wśród chłopów i grup inteligencji.

Dziś koleje losu i wojny rzuciły pokaźną część naszej emigracji wojskowej na ziemię szwajcarską. Po tułaczce węgierskiej czy rumuńskiej, po walce na ziemi francuskiej, przyszedł nowy etap niespodziewany i nieoczekiwany: internowanie w Szwajcarii. Ci z nas co znali Szwajcarię, tę ziemię ludzi prostych, uczciwych i dobrych, ten kraj chłopskiej demokracji—wiedzieli i pewni byli z góry, że żołnierzy naszych spotka przyjęcie życzliwe.

To jednak o czym dowiadujemy się teraz zewsząd—z listów, głosów ukazujących się czy w polskim piśmie obozowym w Szwajcarii, czy w polskiej prasie amerykańskiej — przeszło najśmielsze nasze oczekiwania. Są to objawy przyjaźni i współczucia tak powszechnego, tak dogłębnego i przybierającego formy tak wzruszające, że trzeba jak najmocniej fakt ten zanotować w pamięci, jako najpiękniejszy przykład humanitaryzmu pośród rozbestwionego, zorganizowanego barbarzyństwa epoki totalizmów. Objawy tej przyjaźni spotykamy zarówno wśród szerokich warstw mieszczaństwa, robotników, chłopów, jak i uczonych szwajcarskich. Ogarniają one zarówno sferę potrzeb materialnych, jak i duchowych żołnierza polskiego. Przejawiają się w sposób prosty, żywiołowy a wzruszający.

By najlepiej scharakteryzować to zjawisko, trzeba użyć porównania, zacytowanego niedawno na łamach "Polski Walczącej" przez X. Zygmunta Kaczyńskiego, iż dzieje się to w tym samym klimacie duchowym, co przyjaźń polsko-szkocka. Ale przyjaźń i serdeczność, okazana żołnierzom naszym przez Szwajcarów, nabiera szczególnej wagi, jeśli się zważy, że manifestuje ją drobny kraj, otoczony dziś zewsząd i żyjący pod olbrzymim naciskiem imperializmu niemiecko-włoskiego. Tym więcej cenić musimy ten przejaw niezależności i odwagi demokracji helweckiej.

Pozwólmy przemówić samym naszym żołnierzom. Oto jak charakteryzuje przyjęcie, zgotowane naszej dywizji przez Szwajcarów w trzecim numerze "Gońca Obozowego—Wiadomości dla Internowanych" Michał Oksza w artykule: "Dług wdzięczności":

"*Któż z nas zdoła wytrzeć z pamięci ten dzień, kiedy to przed dwoma miesiącami niewyspani i brudni, zmęczeni i okurzeni—niejednokrotnie z plamą krwi na bandażu—przekroczyliśmy granicę Szwajcarii.*

Z chmurnym czołem i z pustką w sercu opuszczaliśmy Francję, gdzie pogrzebaliśmy jeszcze jedną naszą nadzieję—nadzieję i marzenie zaniesienia wolności dalekiej a tak bliskiej sercu Ojczyźnie. Krwawiła nam duszę okrutna bezsilność wobec wroga i konieczność oddania broni, którą przecież chcieliśmy walczyć długo i skutecznie. Tak, była to chwila, gdy na niejednej żołnierskiej twarzy ukazała się bolesna łza.

I łzę tę wnet spostrzegli nasi nowi gospodarze. Nie wywołała ona w nich obojętności, czy też drwiącego uśmiechu, lecz przeciwnie zrozumieli oni nasz nastrój i ze wszech sił starali się nam złagodzić okrutność chwili zaprzestania walki o niepodległość Polski.

Dzieci i starcy, kobiety i mężczyźni —wszyscy witali nas serdecznie, wyrażając nam słowa współczucia i dodając otuchy na przyszłość. Z każdego okna witała nas jakaś przyjazna ręka lub serdeczny uśmiech. Na przejeżdżające samochody, czy maszerujące oddziały sypała się czekolada, papierosy, owoce; każdy czym mógł i jak mógł starał się nas ugościć i okazać swą sympatię. Nigdy nie zapomnę tego, jak w jednym z przygranicznych miasteczek panie z Czerwonego Krzyża własnoręcznie zdejmowały żołnierzom buty i myły im nogi.

Tak, przyjechaliśmy do kraju, który z miejsca zdobył sobie nasze serca swą serdeczną gościnnością, a gościnność ta bynajmniej nie skończyła się tylko na powitaniu. W dalszym ciągu i na każdym miejscu, czy to na wsi, czy w mieście, w prostej izbie wieśniaka, czy w pięknie umeblowanych salonach przyjmują nas jak swych najbliższych, śpiesząc z pomocą w najdrobniejszych potrzebach, cieszą się naszymi radościami, martwią naszymi troskami, obdarzają nas pełnym zaufaniem . . ."

Leży przede mną kilka listów z Szwajcarii, w których moi znajomi wszędzie jednomyślnie podkreślają ten sam rys niezwykłej życzliwości. Wraca on jakże często na kartach prasy polskiej, na drugiej półkuli. Z tego bogatego materiału wybieram dowolnie jeden z listów, przedrukowanych przez "Gazetę Polską" w Argentynie:

"*My po wystrzeleniu ostatniego pocisku, przekroczyliśmy granicę gościnnej Szwajcarii, spotkaliśmy się z ludźmi, którzy bardzo przychylnie nas przyjęli. Gdyśmy jechali przez jakąś wieś lub miasto, to ludność "bombardowała" nas czekoladkami, papierosami i innymi słodyczami, wynoszono nam herbatę, lemoniadę i krzyczano na całe gardło "Viva Polonia," na co my im odpowiadaliśmy "Viva La Suisse."*

W obozie, gdzie teraz się znajdujemy, ludzie są bardzo dobrzy i starają się nam umilić pobyt w przecudnej Szwajcarii. Kobiety piorą nam bieliznę, zbiorowo całej baterii razem, a myśmy dziś dopiero oddali do prania. Nie wiem jak nasze gospodynie się postarają."

Gdzie szukać wyjaśnienia zjawiska tej żywiołowej sympatii? Przyczyny tkwią dość głęboko, choć zarazem ich podstawy ideowe są dość jasne i proste. Szwajcarzy są tak fanatycznie przywiązani do swej niepodległości państwowej, do swej wolności i ustroju demokratycznego, do swych swobód i instytucyj kantonalnych, stanowiących organiczną podbudowę ich demokracji, że nie pomylimy się chyba twierdząc, że witają w wojsku naszym tych, którzy dla świata całego stali się symbolem twardej, bezkompromisowej, nieustępliwej walki o prawo narodu do samoistności, o przyrodzone prawo do swobodnej egzystencji państwowej. To jedno.

I drugie. W Szwajcarii żyje tradycja polskich ruchów niepodległościowych, tradycja polskich ruchów demokratycznych. Przecież to nie kto inny tylko polskie oddziały ciągnęły wiek temu, w roku 1833, przez Szwajcarię z Francji zbrojno na pomoc powstańcom niemieckim do Księstwa Badeńskiego. Przecież w Szwajcarii żyła polska emigracja polityczna po roku 1831, jak po 1863, jak i po r. 1905. Szwajcarzy wiedzą i pamiętają, że dewiza "Za naszą i waszą wolność," wypisana na sztandarach polskich, nie jest tylko czczym frazesem i fanfaronadą politycznego romantyzmu, ale najrealniejszą prawdą polityczną, w której imię walczyły pokolenia. Wielki kapitał przyjaźni dla Polski zdobyli w Szwajcarii w różnych epokach działający Kościuszko, Jeż-Miłkowski, Narutowicz i Paderewski.

Z głębokich więc tradycyj, powiązań historycznych wypływa serdeczność stosunku Szwajcarów wobec żołnierza polskiego. Do tych tradycji dołączyła się powstawa naszej dywizji, przekraczającej granice ziemi Wilhelma Tella. Szwajcarom zaimponowała jej bojowa postawa, tak jaskrawo odbijająca od demoralizacji Francuzów. Teraz zaś zdobywa sobie ich serca niebywale silny pęd naszych żołnierzy ku kształceniu się, ku studiom.

Adam Ordęga

"Virtuti Militari" zdobi piersi lotników

W końcu stycznia Generał Sikorski udekorował jedenastu lotników polskich orderem Virtuti Militari V klasy za osobiste wyczyny i męstwo wykazane w walkach powietrznych z wrogiem, o czym pisaliśmy już na tym miejscu.

Miałem przyjemność widzieć wszystkich i ze wszystkimi rozmawiać, zrobić, jak to się mówi, wywiad dla "Polski Walczącej." Lotnicy nie lubią słowa "wywiad" w znaczeniu prasowym, lubią natomiast sami robić "wywiad" w powietrzu z nieprzyjacielem; wywiad ten pisze się skrzydłami po niebie, a kropki są z pocisków i one to zakończają "wywiad" powietrzny, tak, że oszołomiony nieprzyjaciel spada z obłoków na ziemię.

Otóż z tym wywiadem było trochę gorzej, i nie lepiej ze mną. Dobrze, że miałem spadochron więc wylądowałem szczęśliwie, z "wywiadem" oczywiście. Jeśli sądzisz, Kochany Czytelniku, że lądując na spadochronie jesteś już zupełnie bezpieczny, grubo się mylisz. Mogą Cię zestrzelić, zupełnie jak kaczkę, w powietrzu, to pierwsze, spadochron więc trzeba otwierać nisko nad ziemią, a drugie—lądujesz z szybkością 8 mtr./sek., więc jakbyś skakal z wysokiego I piętra. Na spadochronie też trzeba umieć latać, czy wisieć, jak komu wygodnie, i też trzeba umieć lądować.

Ale ten "wywiad"—mam właśnie przed sobą notatki i myślę co z tym fantem zrobić. Notatka jest bowiem tego rodzaju "Robię wszystko na zimno, wrażeń żadnych nie mam, nie denerwuję się, nie podniecam ani przed startem, ani podczas walki," i t.d. Jednym słowem chleb z masłem na śniadanie, no i jak tu napisać wywiad.

Wywiad jednak muszę napisać, obiecałem Redaktorowi "Polski Walczącej," bardzo miłemu i sympatycznemu, no i jeszcze dla Ciebie, Miły Czytelniku, który tę gazetę czytasz.

Napiszę więc wywiad krótki i zbiorowy. Zbiorowy, wszyscy bowiem proszą o niepodawanie stopni i nazwisk, nie tylko ze względów osobistych, mianowicie z uwagi na pozostałych bliskich w kraju, lecz przede wszystkiem na fakt, że walka każdego bez względu na wiek i stopień jest walką zbiorową, jest walką reprezentującą wysiłek wszystkich Polaków i ich walkę o tę Polskę, w której ma decydować, żyć spokojnie i bezpiecznie, każdy obywatel, a nie tylko ta czy inna grupka partyjna, to czy inne stronnictwo polityczne, ta czy inna warstwa.

Każdy z lotników twierdzi skromnie, że jedynie spełnił swój żołnierski i swój obywatelski obowiązek i że dalej będzie go spełniać, aż do zupełnego zwycięstwa. Słucham opowiadań ich wszystkich. Są zwięzłe, krótkie, ale bogate w treść. Staram się uzmysłowić i odtworzyć sobie obrazy walk w powietrzu.

W okolicach Paryża wzbijają się w powietrze polscy myśliwcy, w obronie ziemi nie swojej, lecz nam przyjaznej, w obronie ziemi, z której biegły nadzieje wyswobodzenia własnej Ojczyzny. Samoloty Cyklon-Codron z niemałym wysiłkiem pchają się w górę, nie niosą pilotów, piloci je dźwigają, ciągnąc za drążek sterowy, byle być wyżej i prędzej przy nieprzyjacielu. Samoloty te nie mogą sprostać nie tylko samolotom wroga, lecz również nie mogą sprostać walorom lotników polskich, ich woli walki, umiejętności i zdolności. Lotnikowi jest niezmiernie przykro, gdy nie może "wydusić" trochę więcej szybkości, gdy manetka od gazu jest zupełnie otwarta i więcej "gazu" dodać już nie można.

Nieprzyjaciel jest szybszy i zwrotniejszy—walka z nim jest bardzo trudna. Walka jest niemal beznadziejna, bez widoków zwycięstwa. Występują w niej w pełni walory człowieka wolnego, który swą wolą stara się dodać chyżości i zwrotności samolotowi, a ogień swych karabinów maszynowych podnieść przez celność do kwadratu i do sześcianu. Samolotów nieprzyjacielskich jest dużo, bardzo dużo, myśliwców polskich jest garstka. Nacierają jednak i szyk wrogów rozpraszają. Nadlatują inne szyki—rzucają się na nie w pojedynkę. Zestrzeliwują i są zestrzeliwani, ale samolotów wroga spada więcej. To walczy Polski Dyon Myśliwsk i Finlandzki, tak nazwany, bo miał walczyć w Finlandii. Na tym przestarzałym sprzęcie Dyon zestrzelił 12 wrogich samolotów.

W walkach powietrznych z dużej odległości trudno rozpoznać samoloty nieprzyjacielskie od własnych. W czasie jednej z walk, a właściwie po zakończeniu jednego ataku i przed rozpoczęciem drugiego jeden z pilotów zauważywszy piątkę samolotów "ciagnął" do niej sądząc, że to swój, by razen zaatakować większy szyk bombowców przelatujących znacznie niżej. Podleciawszy dość blisko stwierdził, że są to samoloty myśliwskie niemieckie. Jedyne wyjście—atakować i tak też postąpił. Mając samolot wolniejszy i gorzej uzbrojony został zestrzelony i ciężko ranny.

W obłokach nad ziemią Francji goni Curtis, prowadzony ręką polskiego myśliwca, szyk osiemnastu bombowców, H.111. Dopada wreszcie szyk, atakuje z tyłu i zestrzeliwuje jednego. Walka trwa długo, Niemcy są zażarci i bronią się ostro—jeszcze na 300 mtr. nad ziemią ostrzeliwują atakującego pilota, ulegają jednak woli i umiejętności Polaka. W walce czterech członków załogi zostało rannych, jedynie pilot wyszedł cało i mógł posadzić uszkodzony pociskami samolot. W czasie pobytu w szpitalu francuskim nie chcieli wierzyć, że to Polak dał im tak w skórę, przekonani byli, że z Polakami już skończone. Zawiedli się srodze ci i zawiodą się srodze całe Niemcy, bo ani z Polską, ani z Polakami skończone nie jest i dadzą się jeszcze dotkliwie poznać nieprzyjacielowi.

Moran 406, niosący polskiego pilota, goni gdzieś nad Francją inny szyk składający się z dwudziestu ośmiu bombowców, H.111. Goni ich całą godzinę. Pilot pała zemstą, leci ze słońcem. Dopada wreszcie szyk, atakuje jednego w ostatniej trójce, atak prowadzi z góry, następnie poprawia z dołu i Niemiec wali się w dół.

Innym razem ten sam pilot leciał w kluczu trójkowym, samoloty Devoitin 520. Zauważyli samotnego Dorniera. Niemiec niewiadomo dlaczego zaczął kołysać skrzydłami, prawdopodobnie myślał, że to właśnie osłaniający go właśni mysliwcy. Nasi też pokiwali mu skrzydłami, następnie zaatakowali i zestrzelili, taki właśnie był krótki i treściwy "wywiad" w powietrzu.

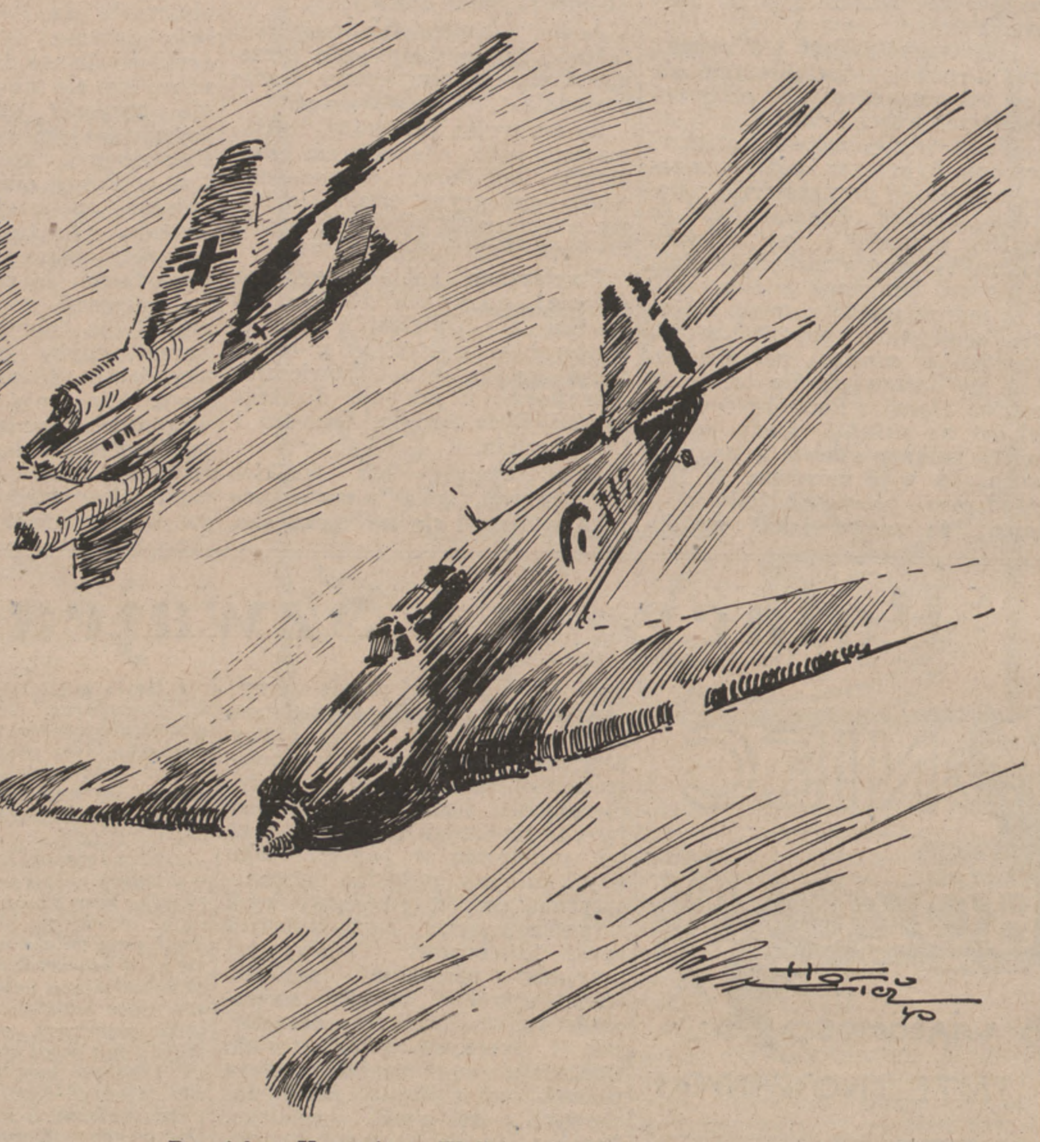
—Walka w Polsce i we Francji była trudniejsza—mówi jeden—tam trzeba było nieprzyjaciela szukać, a tu w Anglii walczy się jak w salonie, wszystko jest dobrze zorganizowane, przemyślane, nic innego nie pozostaje jak strzelać, a mając kilka niezawodnych karabinów maszynowych jest się pewnym zwycięstwa. Podchodzimy zupełnie blisko, Niemcy rozpraszają się dopiero po pierwszym ataku, gdyż z reguły wchodzimy im zupełnie w szyki. Muszą się rozpaść, a później pojedyńczo ich wykańczamy.

Pomiędzy pilotami naszymi, a Anglikami panuje szczera i niezawodna przyjaźń, zupełne braterstwo nie tylko broni lecz i ducha i to daje również rękojmię, że nieprzyjaciel musi ulec, daje pewność, że zwycięstwo będzie nasze.

Order Virtuti Militari zdobi piersi nietylko licznych lotników polskich, lecz również zdobi piersi i szeregu lotników angielskich.

Virtuti Militari przypinane ręką Wodza Naczelnego na piersiach lotników jest świadectwem zwycięstwa naszego w walkach, a nic innego, jeno te zwycięskie walki składają się na zwycięstwo ostateczne.

Półkozic



Bronisław Horowicz: Walka w powietrzu

List lotnika angielskiego do matki

W jednym z dywizjonów bombowych R.A.F. w osobistych rzeczach młodego pilota, o którym komunikat oficjalny mówił: "Zaginiony-prawdopodobnie zabity" znaleziono list adresowany do matki. Dowódca jednostki pisze: "Przeczytałem ten list gdyż był otwarty, z czego wywnioskowałem, że człowiek ten chciał, by list jego był przeczytany, widocznie dla upewnienia mnie, że nie porusza niewłaściwych tematów. Uważam, że był to jeden z piękniejszych listów, jakie kiedykolwiek czytałem. Prosty, bezpośredni, a jakże serdeczny i budujący. Przypuszczając, że może on być pożyteczny dla innych i pocieszający dla wielu matek prosiłem o pozwolenie podania go do wiadomości publicznej. Daje on pojęcie o uczuciach przeciętnego naszego lotnika." A oto treść listu:

Najdroższa Matko,

Mimo, że jestem zdrów i właściwie niczego mi nie brak, piszę ten list, gdyż działania rozwijają się i mogę, jak wielu innych nie wrócić z którejś wyprawy. Gdy dostaniesz ten list nie trać nadziei jeszcze przez jakiś miesiąc, lecz po upływie tego czasu musisz pogodzić się z tym, że skończyłem swe zadanie, które przejmą po mnie inni dzielni koledzy z R.A.F.

Muszę Cię na wstępie pocieszyć tym, że rola moja w tej wojnie była na prawdę poważna i doniosła. Każdy z nas przyczyniał się codziennie do zapewnienia swobody poruszania się naszych ogromnych konwojów z dostawami wszelkiego rodzaju i był ważkim czynnikiem ratującym wiele żyć ludzkich na morzach i lądzie. Mimo, że list ten będzie dla Ciebie tragiczny, byłbym rozczarowany, gdybyś przynajmniej nie starała się przyjąć go spokojnie i z godnością, gdyż mogę Cię zapewnić, że wypełnię swe zadanie do ostatka w granicach moich możliwości. Żaden człowiek nie może zrobić więcej, ale też nikt chcący zasłużyć na to miano nie może zrobić mniej. Zawsze podziwiałem Twoją odwagę i wiarę w przyszłość w trudnych okolicznościach życiowych; myślę, że i w tym wypadku zniesiesz tę wiadomość dzielnie.

Tobie zawdzięczam wszystko, czym jestem, lecz nie myśl, że jeśli zginę, wysiłek i trud Twój pójdzie na marne. Przyczynił się on do obrony Ojczyzny, której należy się coś więcej, niż tylko spokojne korzystanie z Jej dobrodziejstw, i opieki. Kto służy Ojczyźnie nie powiniem niczego się od niej spodziewać. Historia nasza pełna jest sławnych imion ludzi, którzy poświęcili wszystko, co posiadali dla dobra i rozwoju kraju, z którego powstało potężne Imperium, w którym kultura i poziom życia jest wyższy, niż gdziekolwiek indziej. Dziś chodzi już nie tylko o nas, całe chrześcijaństwo i cały kulturalny świat jest zagrożony. Jestem przeto dumny i uważam to sobie za zaszczyt, że mogę położyć na szalę tej właśnie walki całą swą wartość, którą znów zawdzięczam Tobie, i Tobie jestem za nią wdzięczny.

Ale i Ty musisz spełnić swoje obowiązki, których nie brak będzie przez długie jeszcze lata po wygranej wojnie.

Mimo wszystko, co można mieć przeciw tej okropnej wojnie, zawsze podkreślam, jest ona rzeczą dobrą, gdyż daje możność poświęcenia się dla dobra ideałów jak to czynili męczennicy w dawnych wiekach. Choć by długo trwała ta wojna i choć by ciężkie były jej losy, jedna rzecz pozostanie niezmieniona; to, że żyłem i umarłem jako Anglik. Nie może być nic ważniejszego od tego i nic tego zmienić nie może.

Jeżeli jesteś na prawdę wierząca nie powinnaś rozpaczać po mojej śmierci i mam nadzieję, że ta wiara przyniesie Ci ukojenie.

Nie mam strachu przed śmiercią, jedynie dziwne podniecenie. . . . Świat jest tak wielki, że życie jednego człowieka nie liczy się, a miarą wartości życia jest wielkość jego poświęceń. Posłani jesteśmy na ten świat, by wyrobić swój charakter i pozyskać osobowość, których nic nas pozbawić nie może. Ci co tylko jedzą i śpią w spokoju nie są wiele lepsi od zwierząt. Mocno wierzę, że nieszczęścia są stworzone przez Boga, który wie, co jest dla nas dobre i pożyteczne po to, by nas wypróbować i zahartować. Mam nadzieję, że charakter mój pozwoli mi na przejście tej próby, jaką jest wojna i przygotowany jestem na śmierć. Mimo, że przyjdzie ona w młodym wieku, żałować będę tylko tego, że nie będę mógł osładzać Twych starych lat, żyjąc przy Tobie. Ale Ty będziesz żyła, jak wiele innych, w spokoju i wolności, a ja się do tego bezpośrednio przyczynię, dlatego też życie moje nie pójdzie na marne, a Twoja praca nie będzie stracona.

Twój kochający syn

Już starożytni Grecy . . .

Dzikie szczyty Albanii zaciągnięte są teraz mgłą i woda, ściekająca po zboczach pokrywa głęboko wcięte doliny rwącymi strumieniami. W plątaninie ścieżek i przełęczy, oślizgłych kamieni i górskich drzewek armia grecka niepowstrzymanie prze na przód, pędząc przed sobą "Czarne Koszule" z Perugii i Modeny, Bersalierów z pękami kogucich piór przy hełmach, strzelców alpejskich i zwykłą piechotę.

Na początku kampanii greckiej co tężsi politycy twierdzili, iż po trzech tygodniach będzie po wszystkim a w okolicach dalszych powstanie obóz, gdzie zmęczeni oficerowie będą starali się przeszkolić rekrutów z Salonik, Aten, Pireusu i Koryntu, usiłując stworzyć z nich Wolną Armię Grecką. Jako wspomnienie po tym epizodzie Drugiej Wojny Światowej, pozostanie hymn grecki przed niedzielnym komunikatem wieczornym w londyńskim B.B.C., stenogram rozpraw parlamentu Westminsterskiego, gorzkich i pełnych wyrzutów, protokół uroczystej akademii kolonii greckiej w Nowym Yorku, protestujący przeciw nowemu aktowi gwałtu międzynarodowego i, być może, rząd greckiego Quislinga w Atenach.

Tym czasem, jak wynika z komunikatów, wojska greckie okrążyły Tepelini i Moskopoli, gdzieś w głębi gór albańskich w sercu nieprzyjacielskich pozycji i forsownymi marszami zbliżają się do Valony, znanej dotąd przeważnie jako tło do "Wesołej Wdówki."



* * *

Grecy nie cieszyli się zbyt wielką sympatią w Europie. Od niepamiętnych czasów "*fides graeca*" była symbolem przewrotności. Nawet zacietrzewieni znawcy starożytności kręcili nosami na współczesnych Hellenów. Jak we wszystkich zjawiskach o charakterze międzynarodowym, jakim jest opinia t. zw. ogólna o danym narodzie, dla zrozumienia jej należy zaczynać od pieca czyli od niepamiętnych czasów.

Znakomita większość maturzystów polskich gimnazjów państwowych i prywatnych miała coś do czynienia z książką Terlikowskiego "Życie starożytnych Greków." Wynikało z jej treści, iż: "już starożytni Grecy"—robili prawie że wszystko z totalizatorem i, totalizmem włącznie. Ale, to już wynikało z następnej książki Terlikowskiego p.t. "Życie starożytnych Rzymian," potem przyszli Rzymianie, a raczej najpierw Filip Macedoński a potem oni, i z Greków poleciało pierze. Dostali łupnia pod Cheroneją, Demostenes otruł się i było po krzyku.

Ze względu na to, iż edukacja w Jędrzejewiczowskich szkołach zwracała raczej uwagę na "krzepę," aniżeli na wiedzę i w rezultacie uniwersytety polskie zaludniały się co raz bardziej ponurymi pokoleniami nieuków, na tym wiadomości o Grecji przeciętnego Polaka kończyły się. Zaczynały się znów z Venizelosem i kilku dziwnie nazywającymi się panami, jak Kondylis, Papagos czy w ogóle Papanastasiu, których nazwiska pojawiały się w prasie z racji jakichś tam komicznych rewolucyjek. Oczywiście nie mogli oni mieć nic wspólnego z wzniosłymi bohaterami starożytności.

Inne kraje Europy, Francja, Wielka Brytania, miały tyleż wiadomości o Grecji co i Polska. Może o tyle tylko więcej, że na szerokich rozłogach Bliskiego Wschodu, Afryki i Stanów Zjednoczonych spotykali Anglicy i Francuzi czarnych i smagłych Greków, trudniących się byle czym, mieszkających byle jak dla utrzymania swoich licznych, równie czarnych i równie smagłych rodzin. Potomkowie Epaminondasa i Klistenesa nie bardzo odpowiadali wiktoriańskim pojęciom o "pańskim" Białym Człowieku.

* * *

Aleksander Macedoński zniszczył ostatecznie niepodległy byt państwowy miast i państewek greckich, ale w ślad za jego armiami szła kultura grecka i zataczała co raz to dalsze kręgi. Egipt Ptolemaidów, Syria Seleucydów, nawet graniczące z Indiami buddyjskie państwa Sogdiany i Baktriany rozkwitły w blasku hellenizmu. Język grecki był wówczas tym czym dla Polaków, Szwedów i Dalmatyńców XVIII-ego wieku była francuszczyzna, językiem wyższych sfer, cywilizacyjnych zamiarów i dyplomatycznych not. W ślad za językiem szedł strój, obyczaje, potrawy i tradycja. Około 200-go roku przed Chrystusem podróż do Aten czy odszlifowanie edukacji w szkole retorów na wyspie Rodos była tym dla młodzieńca z Sais w Dolnym Egipcie, czy Seleucji syryjskiej czym dla wychowanka Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie rok w *Ecole des Beaux Arts* w Paryżu czy Londyńskiej Szkole Nauk Ekonomicznych.

Juliusz Cezar, poprzednicy jego i następcy mieli w sobie dużo z prostaków. Grubijanin Kato Utycejski mawiał, iż "*stultum est saltare*" (tańczenie jest głupstwem) i wobec tego w pogardzie miał Greków układających sakralne balety ku czci Apollina i przegrywających bitwy. Puryści obyczajów starorzymskich, ci sami, którzy twierdzili, iż bydło rogate ma takież same znaczenie, jak towarzyszka życia i wobec tego w prawie pretorskim poświęcili znacznie więcej uwagi prawu przepędu krów do wody, aniżeli odszkodowaniu rozwodowemu, biadali nad upadkiem moralności publicznej, kiedy jeden z Greków udowodnił publicznie na rynku słuszność pewnej prawdy a następnego dnia słuszność prawdy skrajnie przeciwnej. Rzym był wówczas zbiorowiskiem niechlujnych domów ceglanych.

Na szczęście Greków sprowadzano do Rzymu jako niewolników, korepetytorów i architektów. Rzeźbiarze rzymscy jeździli do Grecji i odrzynali w glinie i marmurze arcydzieła dawnych mistrzów. Już w sto lat po militarnym podboju Grecji, Rzym jaśniał od marmurów i malowanych jaskrawymi kolorami posągów a genialny pieczeniarz Horacy, poeta najpiękniej piszący po łacinie w pełnym smutku nagrobku rzucał wyzwanie nadchodzącym wiekom. Jego dzieło "trwalsze od śpiżu," przetrwa tak długo "jak długo po schodach kapitolińskich wstępować będzie arcykapłan w towarzystwie milczącej westalki." Gdyby Rzym nie podbił Grecji, Horacy musiałby inaczej napisać tę część poematu, monumentalne schody przybyły bowiem do miasta Siedmiu wzgórz razem z resztą bagażu cywilizacyjnego z Aten i Archipelagu greckiego.

* * *

Kiedy w następstwie naturalnego rozwoju, Cesarstwo Rzymskie pękło, było to państwo, a raczej obszar cywilizacyjny, gdzie pęzyk grecki panował wszechwładnie. To, co było silne i zdrowe w Imperium po katastrofie najazdu barbarzyńców, wyniosło się na wschód. Nad Bosforem wyrosła nowa stolica, miasto Konstantyna, zwąca się po grecku Konstantinopolis. Chrześcijaństwo, zalewające wówczas, jak powódź świat śródziemnomorski, miało w pierwszym okresie formę grecką. Listy Św. Pawła Apostoła bez względu na to, czy były adresowane do Efezów, do Ateńczyków, do Koryntian, czy do Rzymian, były pisane po grecku, posługiwały się pojęciami, wspólnymi światu greckiemu. Pierwsze, najniebezpieczniejsze herezje, Nestorian, Arian i Manichejczyków były herezjami greckimi i pierwsi Ojcowie Kościoła byli Grekami.

Tymczasem nowe masy barbarzyńców zalały Bałkany. Grecki wódz greckiego już, wschodniego cesarza rzymskiego Justyniana, nazywał się Belizariusz—Beli Car.

Po kilku pokoleniach istnienia Wschodniego Rzymu, nawet nazwy i formuła cesarstwa rzymskiego S.P.Q.R. znikły. Cesarz nosił grecki tytuł Basileusa, przydomki jego Bulgaroktonos—Zabójca Bułgarów, Porfirogenetes—Rodzący się z Kamienia, były również greckie. Konstantynopol, stolica świata jaśniał wszelkimi urokami cywilizacji wówczas, kiedy zrujnowany Rzym, śmierdząca Lutecja (z której urodzi się Paryż) i opustoszałe Londinium (pra-Londyn) pomału podnosiły się z upadku. "*Fides graeca*" narodziła się wówczas. Zachodni Europejczycy nie cierpieli rzadko widywanych Greków, pogardliwych i ubranych w jedwabie, przede wszystkim przez zazdrość, co było niesłuszne a po drugie za ubóstwianie Basileusa—to co się dziś nazywa różnie, od bizantynizmu do hitleryzmu—co miało już większe uzasadnienie.

Kiedy w roku 1453-cim Konstantynopol padł a cesarz jego, Paleolog zginął na murach pod ciosami tureckich barbarzyńców polityczne życie Grecji zamarło na kilka stuleci, a Europa zapomniała o nich doszczętnie, tak jak zapomina się o bogatym, zdolnym i niesympatycznym kuzynie, któremu przytrafiło się nieszczęście. Grecka arystokracja Konstantynopolu—Fanarioci—poszli w służbę turecką jako gubernatorzy chrześcijańskich prowincji Cesarstwa Ottomańskiego, od Serbii aż po Mołdawię. W. Partetonie ateńskim Turcy urządzili prochownię zniszczoną w XVII-ym wieku podczas wojny z Wenecją. Daleko tylko, na ośnieżonych pustyniach Wielkiego Księstwa Moskiewskiego wzrastało nieszczęśliwe pokłosie małżeństwa ostatniej księżniczki bizantyjskiej z Wielkim księciem—od dwugłowego orła począwszy a skończywszy na chimerze panowania nad światem i odzyskania Konstantynopola.

* * *

Przed paru laty dyplomata grecki Rodocanachi napisał książkę, wydaną po angielsku pod tytułem "*Forever Ulysses*"—Wieczny Odyseusz. Na pierwszy rzut oka jest to ciekawa historia, trochę kryminalna. Autor daje do zrozumienia, iż jest to nieco zakamuflowana historia Sir Basil'a Zacharowa, tajemniczego Greka, szlachcica angielskiego, multimiliardera i międzynarodowej hieny uzbrojeniowej. W jakim stopniu Rodocanachi zamierzał wytłumaczyć ducha dziejów Grecji przez symbol Odyseusza nie wiem. Ale tak w każdym razie wyszło.

Jak mityczny kochanek nimfy Kalipso, tak dzisiejsi Grecy znajdują się właśnie teraz u końca podróży. Z domu wypędziła ich katastrofa podobna do Wojny Trojańskiej — niewola turecka. Geniusz grecki odsunięty od właściwego warsztatu—państwa—szukał bogactwa w rozległych terytoriach państwa niewiernych, przygód w czterech krańcach świata. Dopiero kiedy Turcy w Achaji, na Peloponezie i w Epirze poczęli sobie poczynać jak nachalni zalotnicy, Wieczny Podróżnik na szlakach świata powrócił do domu, aby pomścić zniewagi wyrządzone Penelopie.

Po kilku wiekach ciemności politycznych nastąpiło odrodzenie. W zatoce Nawarinu flota angielska i francuska starły Turków, Byron umarł przy oblężeniu Missolonghi. Wielka Rewolucja francuska walnie przyczyniła się do wyzwolenia Grecji.

* * *

Uprzedzenia historyczne są dziwnie trwałe. Śladu nie pozostało po Europie łacińskiej, ale uprzedzenia jej do Greczynów—*Graeculi*—przetrwało. Zwycięstwa na froncie albańskim przyjmuje się wobec tego, jak coś niezwykłego i nienaturalnego. Tymczasem historia mówi co innego. W 1830-ym roku Grecja była bardzo słabym państewkiem, świeżo oderwanym od Turcji, wyniszczonym wojną, niezmiernie ubogim i rzadko zaludnionym.—Zmęczony Odyseusz wylądował na brzegu rodzinnej wyspy i zmorzony trudem powrotu ułożył się do snu w nadbrzeżnych krzakach.

W sto lat później Grecja jest państwem obejmującym znaczną część historycznych terytoriów. Państwem, które wygrało było dwie ciężkie wojny, przegrało jedną. Które mimo przegranej wojny z Turcją potrafiło znaleść mieszkanie i sposób utrzymania miliona swoich pobratymców, wypędzonych przez Turków z Azji Mniejszej, które wreszcie mimo wewnętrznych wstrząsów politycznych i nieistniejących surowców pomnażało swoje zasoby i co raz bardziej zabierało głos w sprawach ogólno-europejskich.—Odyseusz w przebraniu podkradł się do pałacu.

Jeszcze dziesięć lat i greccy Ewzoni, górscy strzelcy w spódniczkach pędzą przed sobą wroga —Odyseusz napiął łuk i począł szyć strzałami zalotników swojej żony.

* * *

Jeżeli na kampanię albańską patrzy się z historycznego punktu widzenia nie greckie zwycięstwa są zdumiewające. Zdumiewającymi byłyby klęski. Wieczny Odyseusz wrócił bowiem z podróży i od stu lat już porządkuje dom.

Kłótnie na temat tego czy dzisiejsi Włosi są Rzymianami a Grecy starożytnymi Grekami można rozstrzygnąć bardzo prosto—zastosować probierz biblijnej zasady "po owocach ich poznacie je." W jej świetle naczelny wódz armii greckiej Papagos, premier Metaxas, zmarły niedawno, z czystym sercem mogą powołać się na bohaterów Plutarcha, Włosi w tymże świetle nie bardzo przypominają legie rzymskie, chyba te z lasu Teutoburskiego.

Polacy—dawniej i teraz—nie za dużo *znali* i nie znają *Greków*. Bizancjum łączyło się w ich umysłach z czymś bliższym i mniej przyjemnym. Domyślali się jednak wielu rzeczy. Jedna z dalszych zwrotek polskiego hymnu narodowego mówi, iż

"Piersią Spartan nasze były
i te nam zostały

Piersią Spartan Wojny Peloponeskiej i Spartan z pod Koricy, Santi Quaranta i Argyrocastro.

Czesław Jeśman

List z Niemiec

Drukujemy list 15-letniego chłopca rodem z Pomorza, wywiezionego siłą na roboty w głąb Niemiec. Stanowi on proste i piękne świadectwo hartu naszej młodzieży.

Red.

Kochana Siostrzyczko!

List Twój odebrałem i bardzo się z niego ucieszyłem. Jak wiesz pracuję teraz u gospodarza w charakterze robotnika rolnego. Razem ze mną jest morowy chłopak z Torunia. Praca na roli—jak wiesz—jest bardzo ciężka, szczególnie o ile się nie ma do niej powołania. Ciekawe są tu tylko maszyny rolnicze i w ogóle wysoki pod tym względem poziom kulturalny. Dokładniej opowiem Tobie o moim teraźniejszym pobycie tutaj, jak się znowu spotkamy.

Wolałbym jednak wędrować po obcych krajach, poznawać szeroki świat, być wolnym jak ptak dzisiaj tu, jutro tam. . . . Powąchałem już takiej wędrówki i dusza moja rwie się do dalszych przygód i woła: "Patrz oto karta świata! Jesteś młody sokole! Świat przed Tobą stoi otworem—wzleć i poszybuj w daleki, czarowny świat, pełen niezapomnianych wrażeń."

Lecz odzew przezorności szepce cicho, lecz energicznie: "zaciśnij zęby i pracuj;—pracuj nad udoskonaleniem twej duszy i ciała! W świat może iść tylko człowiek o czystej duszy i zdrowym ciele." Na razie słucham tego drugiego odzewu, chociaż Bóg świadkiem, trudno mi to przychodzi. Lecz zaciskam zęby i pięści i mówię: wytrzymam! Muszę wytrzymać!—Pamiętasz, jak chodziłaś jeszcze do gimnazjum, wyrabialiśmy sobie silną wolę, jak "Ziuk." Przypominają mi się te dawne czasy, ale to było dawno . . . dawno. Minęły już te chwile i pozostały tylko wspomnienia.

Książek mam bardzo mało. Czytam częto śpiewnik—ten Twój "Juwentusowy." Wracają wtedy, jakby na ekranie, dawne beztroskie chwile—Tęgoborze, Fordon, Zaleszczyki. . . . Chciałbym je wpisać w jedną wielką całość, ale chyba na stole, bo żadnego pamiętnika nie mam.

W tym miesiącu kończę 15 lat. Czekałem na ten moment długo, chociaż rzadko o tym mówiłem. Rzadko się w ogóle zwierzałem. Marzeniem moim był zawsze szybowiec; przed oczyma miałem zawsze knipel i orczyk sterowy. Dlatego byłem zawsze zamyślony i niektórzy uważali mnie za niedołęgę, który do "trzech policzyć nie umie." Ale to nieprawda! pokaże się jeszcze, co Franek może!!! Wzlecę jeszcze ponad chmury, wybiję sobie drogę orła! pokażę, że jestem synem wolnego narodu!

Pierwszy raz robię w swoim życiu zwierzenia. W przeszłości nie czyniłem tego nigdy. Żyję i żyłem—Jutrem. Dążę do jednego celu, który jest również Twoim celem! . . .

Przesyłam Tobie wesołą fotkę i proszę o błyskawiczny odpis, oraz paczkę (piszę tak prosto z mostu) i ładną fotkę z jakimś egzotycznym krajobrazem i Tobą.

Pozdrawiam cię serdecznie
Twój brat
Franek

Nie zapomnij o przysłaniu pamiętnika!!!

OD PERUKI DO BATTLE-DRESS'U

ARMIA BRYTYJSKA W PRZEBUDOWIE

W pojęciu członka Imperium Brytyjskiego—"*the British Commonwealth of Nations*"—słowo "armia" nie oznacza całokształtu sił zbrojnych, ale jedynie wojska lądowe. Regularne siły zbrojne składają się bowiem z trzech równorzędnych i całkowicie od siebie niezależnych członów, z których Królewska Marynarka—t.j. flota wojenna—"*the Royal Navy*" zajmuje stanowisko najstarszej broni, t.zw. "*senior service*," przed wojskami lądowymi, będącymi na drugim miejscu—"*the Army*"—i przed najmłodszym "*service*" (broń, nie "służba" w polskim wojskowym znaczeniu tego słowa!) — lotnictwem '— "*RAF'em*" czyli "*Royal Air Force*."

Wojska lądowe jako całość, nie mają przydomka "królewskich." Natomiast poszczególne bronie wojsk lądowych posiadają ten przywilej. Tak więc np. artyleria —*Royal Artillery*, saperzy—*Royal Engineers* i inne rodzaje broni względnie służb używają, po nazwie stopnia i nazwisku, literek "*R.A.*," "*R.E.*" lub t.p., tak jak marynarka wojenna dodaje zawsze "*R.N.*" względnie, jeżeli chodzi o piechotę marynarki "*R.M.*" (*Royal Marines*). Literki te zawsze umieszczane są za nazwiskiem i za literkami, będącymi skrótami orderów lub odznaczeń, względnie tytułów naukowych lub zawodowych.

"KORONA" ŹRÓDŁEM WŁADZY

Jeżelibyśmy postawili obok siebie żołnierza najstarszego pułku brytyjskiego, istniejącego po dziś dzień, jakim są "*Royal Scots*" wraz z żołnierzem tego pułku z epoki jego utworzenia, nie zobaczylibyśmy ani w uzbrojeniu ani w umundurowaniu wielu podobieństw. Armia brytyjska bowiem całkowicie się unowocześniła. Jedna tylko właściwość przetrwała wszelkie zmiany: zasada wierności królowi, jako symbolowi Ojczyzny.

Złota korona wraz z herbem królewskim powtarza się niezliczone ilości razy bądź to w mundurze bądź też w odznakach stopni, pułków, broni. Zaś "korona" w przenośnym znaczeniu tego słowa jest źródłem wszelkiej władzy i wszelkich przywilejów: każdy oficer dostaje swój patent od króla, t.zw. "komisję królewską." Stąd też oficerowie nazywają się po angielsku "*commissioned officers*," podoficerowie "*non-commissioned officers*" (w skrócie *N.C.O.*); pośrednia klasa—starszych podoficerów i chorążych otrzymuje, na podobieństwo królewskich patentów oficerskich—dyplomy z ministerstwa wojny, t.zw. "*warrants*"; stąd wojskowi ci nazywają się "*warrant officers*."

Król, jako nominalny naczelny zwierzchnik wszystkich brytyjskich sił zbrojnych, jest równocześnie wielkim admirałem ("*Admiral of the Fleet*"), marszałkiem (*Fieldmarshal*") i marszałkiem lotnictwa ("*Air Chief Marshal*"). Następca tronu i książęta krwi z reguły służą przez pewien czas w wojsku (przeważnie w marynarce), przy czym co rok awansują równorzędnie we wszystkich trzech rodzajach wojsk. Król Jerzy VI, jako książę Yorku, służył w marynarce, podobnie jak jego starszy brat b. król Edward VIII oraz młodszy—książę Kentu. Poza tym jednak służył Edward VIII, jako książę Walii, w czasie wojny światowej w piechocie, książę Kentu—ostatnio już w lotnictwie; książę Gloucester znów jest kawalerzystą.

Armia lądowa brytyjska, stosunkowo nieliczna, była jednak zawsze bardzo reprezentacyjna. Dlatego też liczyła ona większą ilość marszałków—od pięciu do dziesięciu—przy czym niektórzy obcy monarchowie mieli również tytuł marszałka honorowego, m. in. eks-król Hiszpanii, cesarz japoński, król Belgów, etc. Tytuł marszałka, podobnie jak najwyższe ordery brytyjskie zostały odebrane Leopoldowi III po jego zdradzie, podobnie jak eks-cesarzowi Wilhelmowi II i cesarzowi Franciszkowi Józefowi, gdy wybuchła wojna r. 1914.

ROLA ARMII DAWNIEJ I DZIŚ

Panowanie W. Brytanii na morzach ograniczało rolę armii do celów kolonialno-ekspedycyjnych oraz do rezerwy na wypadek wylądowania wroga na wyspach brytyjskich. Od chwili zniszczenia wielkiej armady hiszpańskiej za czasów królowej Elżbiety, co dało początek powstaniu współczesnego Imperium Brytyjskiego, Anglicy raz tylko poważnie liczyli się z groźbą inwazji: w okresie "obozu bulońskiego" Napoleona —no i teraz.

Dlatego też cała organizacja wojsk lądowych Wielkiej Brytanii była dostosowana do potrzeb państwa: służba wojskowa polegała na zaciągu ochotniczym, tworzącym armię zawodową zarówno dla oficerów, podoficerów jak też szeregowych. Po odbyciu wieloletniej służby żołnierz względnie podoficer pozostawał jeszcze przez kilka lat w t.zw. pierwszej rezerwie, skąd można go było w każdej chwili powołać z powrotem do szeregów. Dopiero wojna światowa i wojna obecna zrobiły wyłom w tej zasadzie, doprowadzając do obowiązku powszechnej służby wojskowej.

Aż do września r. 1939 istniała odrębna armia "krajowa," która pełniła zresztą służbę w całym Imperium oraz samodzielna armia indyjska, złożona częściowo z białych, częściowo zaś z tubylców. Poza tym istniała milicja, zasadniczo tylko do użycia wewnątrz kraju, t.j. na wyspach brytyjskich, tak zwana armia terytorialna. Wojska poszczególnych dominiów brytyjskich prawie że nie istniały.

Obecnie wszystko uległo zmianie: armia terytorialna została włączona do armii stałej i ściśle z nią zespolona. Wojska dominiów rozwijają się w szybkim tempie i na dużą skalę.

Jako nowoczesne pospolite ruszenie powstała straż narodowa ("*Home Guard*," zwana pierwotnie "*Local Defence Volunteers*"), ta ostatnia ciągle jeszcze na podstawie zaciągu ochotniczego. Szereg organizacyj paramilitarnych, jak np. LOPP—"*ARP*" ("*Air Raid Precautions*"), mnóstwo zmilitaryzowanych organizacyj kobiecych itd. stwarza obecnie z Wielkiej Brytanii prawdziwy "naród pod bronią."

Cała struktura wojskowa angielska jest ciągle w okresie rozbudowy i zgodnie z umysłowością brytyjską, polega na praktycznym przystosowywaniu się do potrzeb chwili.

KIEROWANIE WOJNĄ I DOWODZENIE ARMIĄ

Ogólne kierownictwo wojną spoczywa w rękach "gabinetu wojennego," którego górującą osobistością jest premier Churchill. Ministrowie wojny, marynarki wojennej i lotnictwa nie wchodzą w skład ścisłego gabinetu wojennego.

Są oni administratorami w swoich działach, przy czym każdy z nich jest członkiem parlamentu i osobą cywilną. Wśród czterech ostatnich ministrów spraw wojskowych w Anglii było dwóch majorami czasu wojny (Hore-Belisha i Eden), jeden kapitanem czasu wojny (Duff-Cooper) i jeden—obecny minister (Margesson)—kapitanem stanu spoczynku. Kpt. Duff-Cooper jest odznaczony D.S.O., mjr. Eden i kpt. Margesson mają M.C.

Najwyższym fachowcem wojskowym—w zakresie armii lądowej—jest szef imperialnego sztabu generalnego (C.I.G.S.)—obecnie generał broni Sir John Dill, który jednak, jeżeli chodzi o odległe teatry operacyj wojennych, jest właściwie tylko koordynatorem. Generałowie brytyjscy zawsze mieli skłonności do przeprowadzania operacyj, w których zaangażowana była stosunkowo ograniczona liczba wojska, jak np. obecnie w Libii.

Alfred Bzowiecki

E D Y N B U R G

(Cykl wierszy, przesłany bezimiennie z jednego z obozów polskich w Szkocji)

DOJAZD

Po obu stronach szosy
Zielone kępy, białe i liliowe wrzosy—
W dali widnieje miasto;
Na chwilę jeszcze znikło za kopą trawiastą,
A potem znowu strzela w niebo dziesiątkami
wieżyc,
Iglicami gotyku pośród gór się jeży.
W dali skały i morze.
Tułaczu—słysz Bekwarka pieśni,
Odejmą ci z duszy cierpienia obrożę
I wieczorną godziną szczęście ucieleśnią.

PRINCES STREET

Ogrody rajskie, drogo do raju,
Przepyszna dumo sędziwego miasta!
Kwiecista wstęgo szlachetnego kraju
Jesteś, jak piękna i strojna niewiasta.

Słońce zachodzi nad wspaniałą stradą,
Na bruku promień już ostatni kona,
Lecz u wylotu złoci kolumnadę
I złoci jeszcze kolumnę Nelsona.

DWA ZAMKI

Jeden na skale piętrzy się ku chwale,
Drugi w dolinie chyli się w ruinie.
Rycerskiej glorii szkockiej rajtarii
Pełen jest jeden . . . a drugi,
Drugi—
Cichego łkania nieszczęsnej Marii.

*NAD GROBEM DAWIDA HUME'A**

Wiedziałeś wiele o ludzim rozumie,
Tak znałeś jego tajemne krużganki,
Jak rycerz alkowę swojej bogdanki—
Wiedziałeś wiele, mój Dawidzie Humie!

Zdjąłeś z rozumu scholarskie kajdanki,
Wykpiłeś głupców, spotykanych w tłumie,
Słuchałeś prawdy w drzew i morza szumie,
Ludzi-ś hodował, jak pasterz baranki.

Tych, co władali w łasce i rozumie
Złożono kości w Westminsterskim tumie.
Czemu nie leżysz tam, Dawidzie Humie?

Pewnie ci droższa twa rotunda biała
Z dnem porośniętym liśćmi paproci,
Ten promyk słońca co twą ziemią złoci
I ta opodal granitowa skała.

Stają nad grobem twym w cichej zadumie:
Tak byłeś mądry o Dawidzie Humie!
Cóż dziś zostało po ludzkim rozumie. . . .

KATEDRA ŚW. EGIDIUSZA

Stań przed witrażem z Chrystusową męką
I do zimnego przyłóż skroń filara. . . .
Zobaczysz Twoją Jedyną, Maleńką
Zobaczysz syna Twego — —
wróci wiara,
Że ujrzysz kraj Twój szczęśliwy i wolny
Twój dom spokojny i ciche podwórze,
Dnia dzisiejszego oset ostrokolny
Zmieni się jutro w bezciernistą różę.

*David Hume filozof i historyk, urodził się w 1711 r. w Edynburgu, umarł w tym mieście w r. 1776. Wydał: "Szkice moralne i polityczne," "Rozprawa o naturze człowieka," "Dialogi dotyczące religii naturalnej," "Dyskusje polityczne," "Historię Stuardów," i.i.

O ANGLII I ANGLIKACH

KRAJ PROSTOTY—MY DEAR ANTHONY . . .—ANGLICY NIE CIERPIĄ TYTUŁOMANII—NAUCZMY SIĘ TEGO OD NICH

Anglia, kraj gdzie obyczaj średniowieczny i feodalny siedzi wcale mocno, gdzie arystokracja nie tylko ozdabia almanachy rodowe, ale rządzi i sprawuje najwyższe urzędy, gdzie istnieje prawdziwy las czcigodnych tytułów, wiodących się od dawnych czasów—jest równocześnie krajem prostoty. Ten właśnie osobliwy demokratyzm angielski łączy się doskonale z poszanowaniem tradycji.

Anglik uznaje tytuły rodowe, ma cześć do nazwisk wielkich i szacownych, ale jest przeciwny wszelkiej tytułomanii. Nikt prawie w Anglii nie zwraca się do swojego rozmówcy przez "panie dyrektorze," czy "panie doktorze" (chyba do lekarza, gdzie brzmi to fachowo: doctor), a cóż dopiero "panie redaktorze," czy "panie radco." Tego rodzaju ozdoby uważałby Anglik za wręcz śmieszne.

***

Jakżesz miło czytać było swojego czasu wymianę listów pomiędzy byłym premierem Nevillem Chamberlainem a ówczesnym ministrem spraw zagranicznych (i obecnym) Anthony Edenem! Chamberlain napisał do Edena list zaczynający się od słów: "*My dear Anthony,*" Eden odpowiedział mu "*My dear Prime Minister.*" Zwrotów takich widzi się w Anglii bardzo wiele; najwyżsi urzędnicy wprowadzają w listy swoje ten właśnie rodzinny niejako ton, nikt z nich nie zamierza podkreślać swojego urzędu.

***

Do urzędującego ministra mówi się: "*Mr. So and So,*" oczywiście jeżeli nie nosi tytułu lordowskiego. Mr. Churchill—oto zawołanie znane całej Anglii i nie trzeba dodatków. Zbawienny wpływ tej prostoty widzimy na polskim biuletynie B.B.C., który bodaj pierwszy wprowadził takie zwroty jak "Winston Churchill," albo "p. Eden" a również w odniesieniu do naszych dostojników zwroty: "p. X., minister takiego a takiego resortu." Należy to zapisać na dobro stylu naszych londyńskich audycyj, że unika się tytułomanii, która rozpanoszyła się tak bez sensu w Polsce.

Niestety, tę narodową wadę, wzorowaną na Niemczech czy na Wiedniu, wleczemy za sobą nawet do Anglii. Wystarczy przysłuchać się rozmowom naszych rodaków w Londynie, ażeby posłyszeć po kilku minutach: "właśnie pan radca Y . . . ," "wspominał mi pan minister!!" "może by pan redaktor. . . ." Gdy do Polaków pracujących w angielskich instytucjach zachodzą Polacy z takim czy innym zapytaniem, szafują z góry "panem dyrektorem" i są bardzo zdziwieni, kiedy się ich prosi, ażeby dali temu spokój.

Porzućmy nareszcie ten cały śmieszny bizantynizm! Uczmy się od Anglików prostoty mówienia, unikania tytułomanii, która jest cechą małomiasteczkową, cechą serwilizmu (to właśnie cechuje Niemca). Jest to rzecz obca ludziom wolnym, obywatelom państw swobodnych, którzy nie potrzebują płaszczyć się przed nikim, ani żebrać łaski przez pochlebianie.

Jest to jedna z cenniejszych rzeczy, jakich nauczyć się możemy w Anglii, kraju, który ceni zasługi, ale nie cierpi tytułomanii. Nauczyć się możemy jeszcze wielu innych rzeczy, które życie nam upraszczają: zredukowania do minimum ściskania rąk, kordialnego witania się na ulicach, całowania pań po rączkach, certowania się przy drzwiach i tylu innych drobiazgów, które komplikują niepotrzebnie życie. Nauczyć się należy jeszcze takich ważnych rzeczy, jak dotrzymywanie terminów, przychodzenie punktualnie na czas, odpowiadanie na listy.

***

W tym względzie wiele mamy zaległości. Odpowiadanie na listy, to rzecz bardzo zasadnicza w kraju, który wydaje wiele grosza na korespondencję. Anglik ma zawsze czas na pisanie listów i nie lubi pozostać dłużny w odpowiedzi. Uważa i słusznie, że najlepiej odpowiedzieć zaraz, bo inaczej zawsze się zwlecze.

Oto drobiazgi warte i godne przyswojenia. Z nich bowiem składa się duża część życia—a życie ludzi, którzy potrafili opanować te właśnie drobiazgi, jest o tyle prostsze, swobodniejsze i godniejsze!

Jeżeli nauczymy się w Anglii niechęci dla tytułomanii, jeżeli odrzucimy śmieszne szafowanie "dyrektorami," "doktorami," "profesorami" i "redaktorami" czy "radcami" ponad wszelką potrzebę i rozsądek—to wyjdzie to nam na dobre dzisiaj i jutro.

Antoni Jawnuta

Z życia obozów

“Głos Cekaemisty” pisze . . .

Już 15 numer ściennej gazety kompanijnej pod tytułem “Głos cekaemisty.”

Jest to pewnego rodzaju jubileusz a w naszych polowych warunkach jest to nawet więcej niż 25-cio lecie poważnego dziennika, odbijanego codziennie rano na maszynie rotacyjnej, niosącego w szeroki świat czytelniczy najświeższe depesze, i nieobeschły od farby drukarskiej, “ciepły” komentarz. . . .

Nasze kompanijne pismo jest skromniutkie, ręcznie przepisywane na pięciu arkuszach kancelaryjnego formatu, wisi w jednym, jedynym egzemplarzu na czołowej ścianie rejonu karabiniarzy.

Jak tylko “Fryderyk Wielki,” urzędowy gospodarz rejonu rozwięsi pismo, już przed nim, jak przed obwieszczeniem karabiniarskiej prawdy wyrasta rząd czytelników, w powszechnym głodzie jakiegokolwiek słowa pisanego, i to domowego chowu, również ma swoje znaczenie i jedna ku sobie sympatię.

Wisi świeży numer. A “Zaporowiec,” “Podleselski,” “Burmistrz,” “Miecio Chojrak” i tylu innych, jeszcze należycie a stosownie nie objętych kompanijnym chrzestem—chłonie na stojąco treść ściennego organu kompanii.

“Komendant Wicek” jeno jest niezadowolony, że mu się tu wypomina jego talenty do gubienia rzeczy fasowanych:

—Stelo dejcie pokój, dejcie pokój, Tak Wicka rozpisywać. . . .

Jeden z naszych najrzetelniejszych kolegów “podchorąży Mielko” też bywa skwaśniały, kiedy o nim wspomnieć:

—Panie podchorąży, a znów o Mielce napisawszy. . . .

“Królijaczejko,” największy, chociaż najmłodszy myśliwiec w kompanii tylko udaje, że nie pojmuje, że o nim mowa.

Skutek jednak każdego wystąpienia bywa dodatni. “Komendant Wicek” zaprzestał gubić fasowany dobytek. I już nareszcie wie, co gatki, to gatki, a co fasunek, to fasunek. I co gdzie leży. Z tego wnosić by należało, że pod tym porządkowym względem “Głos cekaemisty” wśród swojej wiary czytelniczej dużo robi dobrego. A “Wicek” jest prawdziwie wdzięczny, bo nareszcie nauczył się nie gubić garderoby.



Jan Sterling: Oni patrzą na nas (dodatek do 15 nr. “Głosu Cekaemisty”)

Inicjatywa pisma wyszła od karabiniarzy, speców do pisania, którzy stanęli na apel “Wołodyjowskiego”: chwyć za pióro. No, i chwycili przy poparciu kompanijnego wodzostwa. Chwytają tak regularnie, że nie tylko gazetka się ukazuje, ostatnio uzyskując rysunki nawet, ale i poza żołnierski ogół wieści o niej docierają.

Pierwszym drukarzem generalnym był sławny “Janko Muzykant,” co to śledzie magazynował w futerale od skrzypiec. Kiedy ten autorytatywnie zwolnił się do szpitala—jego miejsce zajął początkowo Janusz i Jurek, spółka nie mogących patrzeć na siebie przyjaciół, a potem już, do chwili obecnej kartograj “Komoszerak,” pierwszorzędny miłośnik przystojnych nauczycielek języka angielskiego.

Wówczas Redakcja i jej rozliczni w kompanii kaemiarskiej przyjaciele wzięli się w kupę. Garścią za pióro. . . . “Głos cekaemisty” poszedł nieomal w trybie rotacyjnym.

Otwiera pismo winieta. Ponieważ jest to pismo zadziornych karabiniarzy, którzy jako specjaliści od broni automatycznej swój ciężar gatunkowy znają—więc w winiecie karabin maszynowy: porządkowe wyjaśnienie, że numer . . . że miejsce postoju . . . że ścienna takiej a takiej kompanii. . . . Że dzień wydania jest ten a ten. . . .

Kiedy się pismo ukazuje? Nie ma zasadniczej regularności ukazywania się. Pismo wychodzi albo przed placówką albo po placówce. Bo przecież, kiedy redakcja przebywa na placówce—wtedy jest placówką a nie redakcją. Chyba jasne?!

Pierwszy artykuł, “wstępniak” omawia jakąś aktualną sprawę naszego wewnętrznego życia żołnierskiego. Jest, można tak się wyrazić, bramą wejściową do pisma.

Dalej artykulik na temat jakiegoś ważnego z ostatnich dni zagadnienia polityki międzynarodowej z punktu widzenia zainteresowanych łepetyn karabiniarskich, które przecież już to i owo w ośmiu krajach widziały, jednakowoż mają tak wyrobiony sąd, że mogą w kozi róg zapędzić wszelkich “leśnych dziadków” i ich kawiarnianych satelitów.

Wiersz któregoś z naszych dostojnych klasyków przecina treść publicystyczną ściennej gazety. Mickiewicz, Słowacki, Wyspiański, Norwid—swą olśniewającą substancją poetycką koją i wciąż rozgrzewają cekaemistów wizją przyszłości. I cekaemiści czytają swe wylepione pismo nieomal w postawie na baczność.

Po kąciku poezji—tak zwana treść poważna pisma wyraźnie się przesila. Idzie głośna na cały obóz, na całe miejsce postoju kronika niedyskrecjonalna “Kaemy między sobą.” Kronika ta jest autonomiczna i jest po prostu perełką twórczości całego zespołu karabiniarzy. Głównymi bohaterami tej kroniki są: kuchnia, izba chorych i jej wieczyści gospodarze a przewodnicy zdrowia żołnierskiego, matka kompanii, czyli szef, no i karabiniarze wszelkich stopni. . . . Czasem, kiedy nieopatrzność wyrwie “Prendzelkowi” zbyt pohopne słowa—ani patrzeć, jak w piśmie. Źle by na świecie było, gdyby go tam jak należy przykładnie nie wciągnięto. Tenor o kryminalnym zacięciu.

“Kurdebel” i spirytualista “Poseł,” “Komendant Wicek” i “Podchorąży Mielko,” a nawet *enfant terrible* kompanii “Królijaczejko”—mają swoje honorowe miejsce, jak się każdemu z nich przynależy.

Z obfitej korespondencji, którą “Głos cekaemisty” otrzymuje od czasu do czasu machnie jakiś fajny list, umiejący do karabiniarzy pisać, wierny przyjaciel żołnierskiej wiary—“Pstrąg nieznany.”

Sypią się listy, artykuły, notatki, spostrzeżenia. Numer ukazuje się za numerem. Poczytność prawdziwie wzorowa. Nie każde pismo w kraju miało takich stuprocentowych czytelników.

Nie każde też pismo polskie szczególnie na emigracji, może się szczycić obok rzetelnego humoru wiary żołnierskiej nadto myślą wybiegającą daleko w przyszłość, jak to będzie z tą Polską, którą widzimy, a która przecież będzie!

Wawrzyniec Czereśniewski

“Magicy”



Siedzi sobie, wykorzystując każdą wolną chwilę i dłubie coś, dłubie uporczywie, do skutku. Chucha i pociera rękawem munduru “dla połysku.” Z podręcznego kompletu prymitywnych narzędzi chwyta to pilnik, to scyzoryk, to znów nożyce i dalej szlifuje, wygładza, tnie, piłuje . . . Każdy wie, że to “magik” od orzełków i metalowych dystynkcji.

Z kawałka aluminiowej blachy, pracą nieraz kilku dni wyczarowuje to orzełka srebrnego, orzełka do czapki lub na “souvenir” miłym Szkotom, to znów przemyślnie zdobione “belki” na naramienniki pana kaprala czy plutonowego, albo znów rzymską piątkę oznaki sierżanckiej.

Z tymi orzełkami różnie bywa. Czasem bardziej do gęsi podobny, niż do zwycięskiego króla ptaków, czasem mały, gruby, pękaty, czasem czupurnie nastroszony, ale kto by na to zważał. Przecież to zawsze swój Biały Orzełek do czapki Polskiego Żołnierza.

Zanim fabryki angielskie zaczęły produkować masowo odznaki naszych armii “magicy” od orzełków mieli ręce pełne roboty. Zamówienia sypały się jak z rękawa:

— Ty, kto tobie robił tego orzełka.

— Idź do pierwszej kompanii i spytaj o Pilszaka—to magik od orzełków. Tylko będziesz musiał poczekać, bo ma teraz mnóstwo zamówień.

O łaski takiego magika trzeba było zabiegać, a prosić, a papierosami częstować, żeby przekupić, żeby przed kolejką zrobił orzełka, bo to: “jutro jadę na przepustkę a jakże to bez orzełka u czapki między Szkotów.”

Teraz już popularność “metalurgów” zmalała. Każdy zdobył sobie orzełka, każda z szarż chodzi w glorii błyszczących odznak—belek i galonów, a zresztą orzełka pięknego, tłoczonego maszynowo można kupić w sklepie za szylinga.

Ale . . . ale kiedy ktoś mi powiedział, że po co naszę niezgrabnie wyrzeźbionego z blachy manierki orzełka, choć można kupić pięknego maszynowego za parę groszy—oburzyłem się:

— Nie, kolego kochany! Tego śmiesznie zdziwionego, czupurnie nastroszonego, niezgrabnie rozsiadłego orzełka—dzieło obozowego “magika,” nie zamienię na żadnego fabrycznego. Bo “mój” orzełek to wielka pamiątka serca—to pamiątka akcentu dumy żołnierza, że jest Polakiem.

W ślad za ozdobami mundurów rozpowszechniła się chwalebna moda “prasowania” a “dopasowywania” wszystkiego, co się nosi na sobie. Domowe środki spania na spodniach, co ma dać rezultat idealnych “kantów” nie wystarczyła. Zresztą bluzy nie włoży się do odprasowania między siennik a koce. Więc rada w radę i nuż prosić takiego, co się na krawiectwie trochę z Polski jeszcze znał:—“Kup bracie żelazko—będziesz nam prasował a my ci koszta zwrócimy.”

Bo jakże to w kraju idealnie skrojonego i na kant wygładzonego ubrania chodzić z workami na kolanach, wypchanymi łokciami i w bluzie o sześć numerów za dużej? A jeszcze, jeżeli się który w międzyczasie zakochał! . . .

Piątek i sobota, dni poprzedzające niedzielne przepustki to dni “magików” od igły i żelazka. Ciągnie jeden za drugim do mistrza igły i to mu papierosy znosi, to czekoladą częstuje, to znów zgoła srebrnymi “sixpensami” w oczy świeci. Byle by tylko jemu pierwszemu mundur odświeżył, wyprasował, ponaprawiał. Temu guziki trzeba przestawić, to znów innemu plamę ‘‘zarobioną” przy pracy w kuchni “lekko benzyną podczyścić” albo znów spodnie o “pół centymetrów” skrócić . . .

W niedziele rano, kiedy kompania wyrusza do miasteczka, do kina, na przepustki, na podbój szkockich serc, jeden jedyny bodaj z żołnierskiej braci nie podobny do reszty—z wypchanymi na kolanach spodniami siedzi smętnie na kwaterze. To właśnie “magik” od krawiectwa . . . W natłoku “pracy zawodowej” zapomniał sam o sobie, bo tak już zawsze, według przysłowia “szewc bez butów” . . .

Kiedyśmy jeszcze tkwili w namiotach, przemysł zaspakajania potrzeb własnymi środkami i pomysłowością był u szczytu rozkwitu. Czego bo tam nie robiono z braku takich czy innych możliwości.

Z początku sypialiśmy w namiotach na ziemi. Niezbyt było wygodnie, ale, Boże drogi, każdy z nas był już francuską szkołą dobrze przyzwyczajony. Mimo tego ktoś wpadł na pomysł, że jeżeli może być trochę wygodniej i mniej w plecy wilgotno, to czemu sobie nie poradzić w tym względzie? I tak powstało pierwsze w kompanii obozowe łóżko. Pokraczne było, podobne raczej do przedpotowego monstrum, sklecone z konarów zapomocą sznurków, linek, zardzewiałych gwoździ, ale było!

Nie każdy posiadał tyle zdolności stolarsko-konstruktorskich, żeby sobie móc zbudować podobne łoże. To też do “magika” od stolarki pociągnęły wszystkie “niezdary” i w błagania: “I mnie!”, “I mnie, zrób mój kochany pryczę!” A stolarze bogacili się w mienie wszelkiego rodzaju uzyskane wzamian za pracę nad setkami łóżek. Zakupili nawet siekiery, piły. Zaczęli gromadzić bardziej wytworny materiał: deski zamiast konarów i gałęzi.

Niedługo, w promieniu paru mil od obozu próżno byś szukał desek i gwoździ—zato w namiotach, prócz wygodnych (czasem bardziej do trumien podobnych niż do łóżek) prycz, każdy posiadał to stołek, to etażerkę na podręczne manatki, ba, czasem nawet własny stół. Moje łoże, które przywędrowało ze mną aż do obozu na leże zimowe i na którym do dziś dnia sypiam, chwaląc sobie zalety życia cywilizowanego “zarobiłem,” pisząc najmniej z tuzin listów po angielsku najlepszemu kompanijnemu “magikowi” od łóżek do jego trzech “jedynych” w życiu “wielkich miłości”: Mary, Anne i Dorris.

* * *

Przez okienko strychu stajennego budynku z za prymitywnego pulpitu, gdziem sobie porozkładał “mój” warsztat pracy—papiery i papiery, patrzę na szary bezbarwny kwadrat równo brukowanego podwórza. Patrzę i myślę sobie—ot, piszę o “magikach” kompanijnych a przecie i ja sam jestem jednym z takich “magików.” I o mnie pewnie mówią: “Chcesz żeby ci ktoś list napisał? Idź do sali nr. 1, tam jest taki “magik” od listów, Piekarski—on ci to chętnie zrobi.”

A zresztą, Boże drogi! Czyż każdy z nas żołnierzy nie jest “magikiem” od wspólnej Wielkiej Sprawy?

Bolesław K. Piekarski
rysunek autora

Wojna na morzu

Aktywność Floty Brytyjskiej w ostatnich czasach wzrosła nie tylko w działaniu jednostek lekkich kontrtorpedowców i okrętów podwodnych, lecz również w akcji bezpośredniej wielkich jednostek. Genuę zbombardowały: pancernik, krążownik bojowy, lotniskowiec i jego aeroplany, oraz krążownik. Oczywiście takiej armadzie musiała towarzyszyć cała flotylla kontrtorpedowców i okrętów podwodnych, tworząca osłonę.

Szkody wyrządzone zbombardowaniem są znaczne, jak donoszą korespondenci amerykańscy. Uszkodzono poważnie zakłady Ansaldo, spalono magazyny pociski spadły na doki, nie licząc zniszczeń w samym porcie Genui. Włosi skarżą się na "brytyjskie barbarzyństwo," donosząc w specjalnym komunikacie radiowym, że 72 "osoby cywilne" zostały w Genui zabite, a 226 osób ciężko rannych, poza tym przyznają, że "wielka ilość domów prywatnych" została poważnie uszkodzona.

Ponieważ fabryki "Ansaldo" i inne genueńskie zakłady, pracujące dla celów wojennych w Genui są własnością prywatną więc komunikat włoski wyjątkowo . . . nie mija się z prawdą. Irytujące jest tylko owo obłudne "oburzenie." Zniszczyć z dział Warszawę, spalić najstarszą dzielnicę w Londynie, zburzyć *x* kościołów i pamiątek historycznych w Polsce, we Francji i w Anglii z Guildhall i z Katedrą w Coventry, mordować bezmyślnie, okrutnie i głupio dziesiątki tysięcy Polaków i Anglików, dzieci i kobiet, ostrzeliwać bezbronnych z karabinów maszynowych na szosie, mordować pastuszków wiejskich i baby wiejskie, idące na targ, rżnąć Abisyńczyków "cekaemami," tankami, bombardować słomiane wsie dzikusów z powietrza—to wszystko jest "bohaterstwo włosko-niemieckie," "czyny które przejdą do historii" (ja myślę!) Ale, gdy Flota Wielkiej Brytanii, ryzykując sama niezwykle wiele i wystawiając się na cel pocisków artylerii brzegowej (inna sprawa, że patałachy włoskie nic, ale to absolutnie nic nie mogły Brytyjczykom zrobić i nie było żadnej skutecznej przeciwakcji ani z lądu, ani z powietrza, ani z morza podczas godzinnego bombardowania) — unieszkodliwia barbarzyńców zaczynają głośno krzyczeć — o "barbarzyństwie."

Drugim działaniem na wiekszą skalę cięższych jednostek Floty Brytyjskiej było bombardowanie Ostendy. Wczesnym rankiem 11 lutego zaczęły padać na Ostendę granaty ciężkiej artylerii brytyjskich okrętów. Salwa za salwą grzmiały tak intensywnie, że ogień ten słyszany był na wybrzeżu angielskim odległym o 70 mil przez 20 minut. Szkody wyrządzone bombardowaniem są tak duże, że przez czas dłuższy port w Ostendzie będzie nie do użytku. Trzeba podkreślić, że port Ostendy łączy się z całym systemem kanałów wewnętrznych o wielkim znaczeniu komunikacyjnym. Oficjalny komunikat z tej operacji, wydany w tym samym dniu przez Admiralicję Brytyjską brzmiał: "Jednostki Marynarki Królewskiej dziś w godzinach rannych otworzyły ogień na okupowany przez nieprzyjaciela port Ostendy. Salwy naszych granatów spadły na fabryki i urządzenia portowe. Zauważono wiele powstałych pożarów. Po naszej stronie nie było ani strat ani szkód."

Jednocześnie od paru dni naloty R.A.F. na porty inwazyjne gwałtownie przybrały na mocy. Dunkierka, Calais, Boulogne, Brest zostały zbombardowane po raz nie wiadomo który, a nagromadzone w portach tych statki, barki i łodzie zatopione lub zniszczone. Brytyjczycy, lojalni jak zawsze, podkreślili w komunikacie czyny dwuch polskich sierżantów-pilotów, którzy w pojedynku z niemieckimi myśliwcami w operacjach tych nad portami francuskimi strącili dwa Messerschmidty M.E.109 z wysokości 7000 stóp.

Coś "ciężkiego jednak wisi w powietrzu nad morzami "nie tylko na Północnym Atlantyku ale i na dalekim Pacyfiku. Jak donoszą gazety angielskie, wielkie okręty *Home Fleet* odbyły podróż "w specjalnej misji" przez około 1000 mil Północnego Atlantyku. Agencja Reuter donosi, że te manewry "osiągnęły pełny sukces." Przez trzy dni i trzy noce nie widziano nawet znaku nieprzyjaciela ani na morzu ani w powietrzu. Jedyny okręt zauważony i ścigany przez jeden z pancerników okazał się brytyjskim krążownikiem pomocniczym. "Był to najbardziej emocjonujący wypadek podczas podróży," donosi komunikat, a po pewnym czasie okręty spotkały się z innymi siłami Wielkiej Floty, wykonującymi inną misję.

Na Pacyfiku zaś zbierają się groźne chmury. Rząd australijski wyraźnie ostrzega, że chwila jest poważna, rząd Stanów Zjednoczonych częściowo poradził swoim obywatelom wyjazd z Japonii, gdy jednocześnie Państwo Wschodzącego Słońca wystąpiło wobec Indii Holenderskich z takimi żądaniami, że przyjęcie ich równało by się oddaniu Indii Holenderskich Japonii. Jednocześnie Brytyjczycy, którzy na ewentualność dywersji japońskiej na Dalekim Wschodzie przygotowywali się oddawna, ewakuują resztki kobiet i dzieci angielskich z Hong Kong i wysiedlają obywateli japońskich z okolic bazy morskiej Singapore. W sąsiedniej zaś kolonii Malaja mają Anglicy niemały kłopot. Jest tam bowiem Japończykow około 700.000!

Jednocześnie Prezydent Roosevelt zażądał od Kongresu amerykańskiego dalszych 899 milionów dolarów na szybką i skuteczną rozbudowę Floty Stanów Zjednoczonych i na budowę nowych stoczni. Do tego zażądał jeszcze dalszych 4,700,000 dolarów na pokrycie kosztów wykonanych robót fortyfikacyjnych nowej bazy morskiej Stanów Zjednoczonych na Pacyfiku wyspy Guam (Wyspa Guam należy do Archipelagu Mariańskiego i zajmuje kluczową pozycję w stosunku do wysp tego samego archipelagu będących w posiadaniu Japończyków).

Singapore i cały półwysep Małajski trwa w pogotowiu, wszystkie holenderskie statki handlowe, będące w drodze na Południowym Pacyfiku dostały rozkaz schronienia się do portów. Japończycy widocznie szykują się do dywersji . . . takie wieści rozeszły się w Europie i na Dalekim Wschodzie. Czy wobec tego Stany Zjednoczone nareszcie wystąpią? Oto pytanie, na-które dosyć trudno odpowiedzieć.

Willkie po wizycie w Anglii szczerze zajął się sprawą pomocy dla Wielkiej Brytanii i pomijając wszelkie formalności zażądał, aby Stany natychmiast rozpoczęły wysyłkę, dla Anglji po 10 kontrtorpedowców miesięcznie i jeszcze bardziej "upłynniły" pomoc dotąd udzielaną. To żądanie Willkie 'go spotkało się z nieoczekiwanym sprzeciwem sekretarza stanu do spraw marynarki Knoxa, który acz sam jest gorącym zwolennikiem pomocy dla Wielkiej Brytanii w jak najszerszym zakresie, uważa, że wobec zbliżającej się burzy na Pacyfiku taka forma pomocy osłabiłaby siły morskie Stanów Zjednoczonych. Inna sprawa jeśli idzie o "upłynnienie" pomocy. "Musi ona być natychmiastowa, obfita i skuteczna" — oświadczył raz jeszcze Knox.

Tymczasem na Morzu Śródziemnym pomimo, że walki bynajmniej nie ustały, a Malta bombardowana jest przez bombowce niemieckie i włoskie co raz zacieklej (choć z przedziwnie słabym skutkiem), zwycięstwa brytyjskie na lądzie w Libii i na morzu wywarły bardzo znamienny skutek na . . . towarzystwa asekuracyjne. Statki, które zawijają do portów wschodnich Morza Śródziemnego i do portów egipskich płacą mniejszą stawkę ubezpieczeniową, a to w proporcji następującej: Z Ameryki do portów albo z portów Alexandria, Haifa, Port Said, Suez, płynące drogą na Cape Town płacą £7 Sh10 za 100. w porównaniu do £10 poprzednio. Podróże pomiędzy Afryką Południową, i tymi samymi portami śródziemnomorskimi obecnie opłacane są £6 w porównaniu do £7 Sh 10 poprzednio.

Wszystko jednak na to wskazuje, że morza te raz jeszcze w historii będą świadkiem wielkich zmagań. Uwaga całego świata skierowała się na cieśniny: Dardanelską i Bosfor oraz na Morze Czarne i ujście Dunaju. Trzeba podkreślić, że flota wojenna turecka bynajmniej nie może być lekceważona i w razie czego będzie znakomitym wzmocnieniem floty sprzymierzonych.

Morza więc i lądy całego świata żyją w gorączkowym oczekiwaniu . . . wzmocnienia burzy, burzy ludzkiej.

Bohdan Pawłowicz

Skrzynka pocztowa

W nr. 2-im czasopisma 1-ej Brygady "Odwet" w artykule: "Wśród prasy wojskowej" czytamy:

"Nie wprowadzaliśmy dotychczas rubryki "Przeglądu Prasy," wychodząc ze stwierdzenia faktu, że wszystkie pisma są pilnie czytywane przez brać żołnierską naszej Brygady. To też jeżeli dzisiaj kilka słów prasie wojskowej poświęcamy,—czynimy to dlatego, że na specjalne—zdaniem naszym — podkreślenie zasługuje kilka faktów.

Przede wszystkim morski numer "Polski Walczącej." Jest świetny. A co nas specjalnie cieszy w tym numerze,—to sposób "łamania" dwu kolumn środkowych. Wygląda to doskonale. I przypomina najlepiej łamane pisma polskie w Wielkiej Brytanii . . .

Treść morskiego numeru "Polski Walczącej" omówienia nie wymaga. Każdy z nas czyta ten tygodnik. Jeżeli zaś jeszcze ktoś nie widział ostatniego numeru, niech się zaopatrzy czym prędzej—daje świetny i poważny materiał."

W związku z tym numerem otrzymaliśmy szereg listów. Oto kilka z nich:

"Marynarce naszej dzieje się niewątpliwie pewna krzywda. Czyny lotników naszych, walki armii lądowej we Francji i Norwegii dostatecznie już silnie utrwaliły się w powszechnej świadomości kraju, jak i emigracji. Głucho dość jest natomiast, jeśli idzie o marynarkę. Widać, że ci skromni nasi marynarze nie tylko nie dbają o reklamę, ale nawet jakby świadomie rozpościerają wokół siebie zmowę zamilczania, czy utajania swych dokonań. Chcą — widać śladem swych brytyjskich kolegów—być arcyskrupulatni i zostawiają przyszłym historykom trud dociekania nad ich wysiłkiem w obecnej wojnie.

Dobrze się więc stało, że "Polska Walcząca" przez piękny i bogaty w treść swój numer morski przełamała pierwsza to milczenie i odsłoniła bodaj drobny wykrawek bojów naszej marynarki. Opis obrony Gdyni i Oksywia, dzieje walk marynarki, zwłaszcza wzruszający opis tonięcia "Gromu" i "Piłsudskiego" mają już dziś znamię cennych dokumentów historycznych. Są to świadectwa tym cenniejsze, że rzucają równocześnie znamienne światło na nastroje w pamiętnych dniach września 1939, oświetlając jednolitość postawy całej ludności Gdyni wobec najazdu Niemców. Od autorów tych wszystkich artykułów morskich oczekujemy dalszych przyczynków chcemy bowiem wszyscy, by dokonania naszej marynarki—w granicach możliwości określonych przez tajemnicę wojskową — stały się wspólnym naszym dorobkiem, by przeszły do powszechnej świadomości.

W związku z artykułem historycznym p. E. Oppmana chciałbym dorzucić jedno drobne uzupełnienie. W dziejach obudzenia zainteresowania społeczeństwa polskiego dla spraw morskich odegrał na początku dwudziestego wieku wielką rolę Bernard Chrzanowski. Swymi przewodnikami, pracami, wycieczkami itd zwrócił uwagę Stefana Żeromskiego na zagadnienia morskie. Żeromski z właściwą mu szczerością podkreślał, ile zawdzięcza temu którego nazywał "Chałubińskim polskiego wybrzeża." W zbiorach londyńskich nie ma—niestety—poza jednym przewodnikiem ani prac Bernarda Chrzanowskiego, ani książeczki Stefana Papee, go, która wyświetliła charakter związków łączących byłego kuratora poznańskiego z autorem "Wiatru od morza." One by dokumentarnie stwierdziły znaczny wkład pracy B. Chrzanowskiego w obudzenie zainteresowań dla spraw morskich. Niech wystarczy na razie stwierdzenie, że Bernard Chrzanowski był inspiratorem i pobudzicielem w dużej mierze Stefana Żeromskiego ku sprawom morskim. A nie kto inny przecież, jak autor "Międzymorza," "Wiatru od morza," ze wszystkich pisarzy polskich może jedyny w tym stopniu, ukazał pokoleniu współczesnemu, do którego należą nasi marynarze piękno i urok polskiego morza, nikt nie dał piękniejszego literackiego ujęcia historii zmagań się Polski o skrawek Bałtyku—zmagań które nie są jeszcze skończone."

Adam Ordęga

"Numer morski jest doskonały. Popularność "Polski Walczącej" mogłaby poważnie wzrosnąć, gdyby numer ten dotarł do nas w jeszcze większej ilości."

Jakub Szulc

"Kochany Redaktorze,
gratuluję wspaniałego numeru morskiego. Pierwszorzędny materiał redakcyjny i strona graficzna (zwłaszcza łamanie!)."

Adam Kowalski

"Serdeczne słowa uznania słyszę dookoła na temat numeru "morskiego"—przekazuję je z dodaniem własnych, szczerych gratulacji. Poza tym załączam serdeczne pozdrowienła od całej Lwowskiej Fali i ściskam serdecznie."

Ludwik Bojczuk

"Cały numer był znakomity i jest —moim zdaniem—najlepszym osiągnięciem propagandowym na odcinku morskim, tak zaniedbanym dotychczas."

Wiesław Szymk

"W zakończeniu, nigdy tego nie pisałem, ale niech i ja się wypowiem jako czytelnik. Otóż 'Polska Walcząca' obecnie jest doskonała, z ręka na sercu można powiedzieć: najlepsze pismo na emigracji. Brawo! przyszłość jest tylko jedna —*zrobić z tego dziennik*! Materiału nie zabraknie, a resztę trudności Pan napewno pokona, ja w to wierzę, będziemy Panu pomagali. Ściskam dłoń."

Kamil Czarnecki

Sztychem

BOKS ANGIELSKI

Widząc, jak się od roku Europa zbiera,
aby pokonać w walce Duce i Hitlera,
wyrzekł Amerykanin przy sędziowskim stole:
—"Na nic walka francuska! Boks angielski wolę!"

JAK WALCZYĆ

Walka się w naszym świecie ceniła i ceni,
gdy walczą zapaśnicy, obaj dżentelmeni,
lecz gdy na dżentelmena rzuci się bandyta,
trzasnąć go między oczy, rozbić łeb i kwita!

Antyk

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. V-e piętro.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej-13-ej.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: Pierwsza strona—1 cal przez jeden łam—sh.13 4d. Pozostałe strony—1 cal przez jeden łam—sh. 6 4d. Drobne ogłoszenia—1 cal przez jeden łam—sh.5, pół cala przez 1 łam —sh.2 6d.

Adres Administracji (Business Offices): 5, Portugal Street, W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro. Adres Agenta dla ogłoszeń angielskich (Advertisement Offices) 415, Oxford Street, W.1. Tel., MAYfair 4973.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.

SPIS RZECZY

W SPRAWIE WYDANIA N. TESTAMENTU

Wiadomo już wszystkim Polakom, że z polecenia Biskupa Polskich Sił Zbrojnych wyjdzie w druku
NOWY TESTAMENT
wydany na cienkim papierze w kieszonkowym formacie.

Początkowo miały wyjść tylko Cztery Ewangelie i Dzieje Apostolskie. Gdy jednak wielu Polaków wyraziło gorące życzenie, żeby Polakom walczącym o wolność swej Ojczyzny dać do rąk cały Nowy Testamet, jako najpotrzebniejszą dla pokrzepienia ducha lekturę, Wydawnictwo to życzenie spełnia i dołącza Listy Apostolskie i Apokalipsę. To jednak opóźnia nieco ukazanie się książki tak, że w sprzedaży będzie dopiero około 10 marca br.

Aby, z powodu powiększenia objętości, nie wzrosła cena "Nowego Testamentu," postanowiły zainteresowane polskie Instytucje państwowe pokryç różnicę, stąd pochodzącą. Dłatego też wynosię ona bęzie:...

1. Wprost w wydawnictwie: 4 szyl. za egzemplarz oprawny w płótno, 6e. 6d. za egzemplarz opr. w skórkę ze złoconymi brzegami z dodaniem 3d. na porto.
2. W sprzedaży księgarskiej: 6 szyl i 8s. 6d.

Celem ustalenia wysokości nakładu Wydawnictwo purosi o wcześniejsze zgłaszanie zapotrzebowań i wpłacanie należytości na "postal order." Adres: F. Mildner Clerkenwell Herbal Hill, London, E.C.1.